MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK IX. Nr 3 WARSZAWA, 20 STYCZNIA 1929 R. CENA NUMERU 80 gr.

ZAPOMNIANY RODOWÓD

RADYKALNY inteligent, rządzący Polską prawie niepodzielnie od czasu wznowienia niezależnego bytu państwowego, nie zaprzeczyłby prawdopodobnie temu, że na ukształtowanie się jego duchowego oblicza wpłynęli Gl. Uspieńskij, Dostojewskij, czy Gorkij, obruszyłby się atoli szczerze na twierdzenie, że w tem kształtowaniu poważną rolę grał również Iłowajskij. A jednak tak jest, mimo iż t. zw. iłowajszczyzna w swoim czasie została rzekomo zdemaskowana, a jej wpływ zneutralizowany.

Zwalczanie historycznych poglądów, wpajanych w młodzież przez podręczniki Iłowajskiego, nie było bynajmniej łatwe i w ogromnej liczbie wypadków poglądy te, co prawda tylko częściowo, ale zato w tej właśnie części, która nas najbardziej obchodzi, stały się podstawą myślenia inteligenta polskiego. Carosławje i gloryfikacja Rosji nie przenikały oczywiście ani do mózgów, ani tembardziej do serc polskich i spływały po wierzchu, jakby odfiltrowane; inaczej jednak się działo z poglądami na rolę dziejową Polski, przyczyny jej upadku i tp. Starsi pamiętają dobrze z własnych przejść ten bolesny proces duchowy, młodszym trzeba go, na szczęście, już wyjaśniać jako rzecz nieznaną, na sobie nie doświadczoną.

Młody Polak, dochodzący w okresie, o którym mówimy, t. zn. przed laty trzydziestu lub więcej, do „używania rozumu", gnębiony duchowo przez szkołę rosyjską, szukał oczywiście przyczyn upadku i niewoli Ojczyzny, a pod wpływem prądów wówczas panujących skłonny był dojrzeć tę przyczynę w sprzeniewierzeniu się Polski „demokratycznym ideałom ludzkości". Rosyjski podręcznik historji, którego typowym okazem były książki osławionego Iłowajskiego, znakomicie mu w tem pomagał. Bo historyk rosyjski w stosunku do Rosji carosławny po bizantyjsku, przechodząc do spraw polskich przedzierzgał się natychmiast w najszczerszego demokratę i liberała, co więcej wyprzedzając swój czas, stawał się tak przekonanym obrońcą narodowości, że nawet projektowana komisja mniejszościowa dzisiejszej Ligi Narodów nie miałaby mu nic do zarzucenia. Musiała tedy, według niego, Polska zginąć, bo przecież nie była niczem więcej, jak tylko organizacją niesfornej i pijackiej szlachty, organizacją, wydoskonaloną w ciemiężeniu własnych chłopów, a jeszcze w większym stopniu w gnębieniu podbitych narodowości i wyznań. Skreślenie tedy Polski z listy narodów samodzielnych było aktem sprawiedliwości dziejowej.

Jasna rzecz, iż żaden młody Polak poglądów takich bez oporu przyjmować nie mógł. Już ich samo źródło wzbudzało nieufność, a uczucia patrjotyczne buntowały się przeciwko hańbieniu przeszłości narodu, mało wprawdzie znanej, lecz instynktownie nietylko kochanej, ale i szanowanej. Ileżto razy jednak z bólem zadawał sobie pytanie: „a co, jeżeli oni mają rację?"... Szukał wprawdzie pomocy, rzadko jednak i z trudem ją znajdował. Sam oczywiście nie mógł jeszcze przeciwstawić przewrotnym rozumowaniom własnych wiadomości, w domu pomoc tę znajdował w dość rzadkich wypadkach, a ówczesna publicystyka polska raczej go jeszcze pognębiała. Bo nie trzeba zapominać, że były to czasy triumfującego wtedy pozytywizmu, przeciwko któremu zbudziła się już wprawdzie reakcja kierunku narodowego, ale mu panowania w umysłach nie odjęła. Pozytywizm zaś, traktujący wrogo wszelką „dawność" i tradycje historyczne, mało miał do powiedzenia przeciwko Iłowajskiemu, podczas gdy panoszący się również w tym czasie socjalistyczny materjalizm dziejowy wprost wtórował mu zgodnym głosem. Tak więc „szkiełka i oczy" ówczesnych „mędrców", obcych i swoich, zwracały się przeciwko wyrobieniu w młodzieży czci i przywiązania do historycznego dzieła Polski. Ratował ją jedynie instynkt narodowy, a gdzie zawiódł,

tam zwyciężał wpajany przez wrogą szkołą obcy pogląd na świat. Zwycięstwo całkowite, doprowadzone aż do pogodzenia się z utratą niepodległości, nie było częste, zdarzało się wszakże: przecież Socjaldemokracja Królestwa Polskiego i Litwy nie samych tylko żydów liczyła wśród swoich przywódców, natomiast zwycięstwo częściowe w postaci narzucenia pewnego poglądu na dzieje Polski bywało nierównie częstsze. I ta iłowajszczyzna pokutuje dziś jeszcze między nami.

Niedawno „Myśl Narodowa" (w art. Jana Rembielińskiego pt. „Wiara w Polskę" z dnia 6.I, b. r.) słusznie zwróciła uwagę na brak wiary w Polskę jako na zasadniczą przyczynę dziwacznych pomysłów i poglądów radykalnej inteligencji naszej na zadania i charakter państwa polskiego. Wydało się nam pożytecznem przypomnieć tu i szerzej omówić rodowód tej niewiary, bowiem sami nią dotknięci pewno się do niego nie przyznają, a może w wielu wypadkach nawet go sobie nie uświadomiają.

Pozostawiony przed laty na wrażliwych młodzieńczych mózgach osad nie odpartych należycie insynuacyj Iłowajskiego, jakobyśmy byli na wschodnich ziemiach najeźdzcami tylko i gnębicielami, nie daje dotychczas naszej radykalnej inteligencji przejąć się wiarą w Polskę i stanąć do wypełniania dalej jej misji dziejowej. Szukają oni drogi wyjścia raz w federalizmie, innym razem w regjonalizmie, to znowu w ideologji „państwowo-państwowej". Spodziewać się należy, że patrjoci z pośród nich znajdą drogę właściwą, przejąwszy i w tym wypadku, jak to uczynili w wielu innych, wskazania ideologji narodowej, ale to pokutowanie iłowajszczyzny gotowo Polskę drogo kosztować.

Zwracamy uwagę na te rzeczy w chwili obecnej nie tylko dlatego, że są to sprawy pierwszorzędnej dla Polski doniosłości, na które opinja powinna okazywać niesłabnącą czujność, lecz również i z tego powodu, że właśnie w tych dniach odbył się zjazd i narady wojewodów naszych województw wschodnich z udziałem decydujących obecnie polityków, a na tych naradach omawiane być miały zasady polityki Państwa na kresach. O wynikach narad niebawem pewno się dowiemy „po czynach ich".

ZYGMUNT RACZKOWSKI

KULTURA WOLI

I

STOSUNEK człowieka spółczesnego do rzeczywistości jest przedewszystkiem czynny. Największym podziwem i dumą napełnia go przeświadczenie o tem, ile zdziałać może. Wprawdzie czuje się równocześnie osadzony w więzi niesłychanie zawiłych korrelacyj, zależności, reakcyj, wprawdzie zatracił w ogromnej mierze zdolność poznawania siebie i wyrażania własnej — coraz jednostronniejszej — indywidualności — jednakże położywszy rękę na kierownicy olbrzymich napięć energji, czuję się samą Wolą, metafizycznym nieomal pierwiastkiem, zasadą wszelkich zjawisk — niszczących i twórczych.

Takie jest faktyczne podłoże spotykanej dziś co krok afirmacji woli jako najistotniejszego czynnika celowości w świecie przyrodniczym i humanistycznym.

Wola nabiera cech wartości naczelnej, omal nie wyższej od takich jak Dobro lub Piękno, a symbol jej — skurczony mięsień ramienia ludzkiego lub stalowy gnat maszyny — wykrywamy wszędzie i widzimy w nim godło ducha czasu.

Idea woli, jakkolwiek bardzo rozpowszechniona, nie daje się tak łatwo ująć, gdyż jest wieloznaczna i dopiero na tle perspektywy historycznej możemy wykryć w splocie starych, oddziedziczonych poglądów — jądro nowoczesności.

II

Związek psychologji z historją nie jest tak luźny, jakby się to powszechnie zdawało. Powszechne przeświadczenie o tożsamości natury ludzkiej jest zasadniczo słuszne, ale bliższa znajomość z historją kultury, zetknięcia ludzi różnych ras, przekonywają o tem, że w każdem społeczeństwie, w każdej epoce pewne kompleksy psychiczne przybierają odmienny charakter, jakościowo i ilościowo, że nowe wynurzają się a dawne zanikają, do chwili, kiedy zajdzie potrzeba powołania ich z powrotem do życia.

Nieinaczej rzecz się ma z kompleksem psychicznym zwanym wolą. Bo oczywiście historycznie chodzi tu nietylko o element świadomości wysiłku, ale o związek jego z obrazami, afektami, o szybkość reakcyj, o wartościowanie, dodatnie lub ujemne, krótko mówiąc — o całą fizjognomję, nie o jeden tylko rys.

Tak ujęta Wola posiada bardzo czcigodną przeszłość i — rzecz ciekawa — w ogromnie odległych czasach, bo w dobie kształtowania się metafizycznych doktryn braminizmu w Indjach — stała się przedmiotem najwyższych, najbardziej ezoterycznych systemów, ustalając raz na zawsze pewne typowe rozwiązania.

Są niemi: doktryna o tem, że pożądanie sprowadza cierpienie, ból życia, i doktryna o tem, że wysiłkiem woli czlowiek może osiągnąć moc nadprzyrodzoną.

Obie tkwią w prawdzie psychologicznej, chociaż jednostronnej. Bo pożądanie rodzi nietylko cierpienie lecz i siłę. Człowiek, nie posiadający żadnych upragnień gorętszych, robi wrażenie słabości i upadku. Koncentracja woli też niezawsze potęguje siły do stopnia cudowności: rodzić może i manjaków.

W ten sposób, gdy konsekwencja pierwszej doktryny prowadziła do zwalczania pożądania i faktycznie do samozaparcia (idea ta znalazła swój najgłębszy wyraz w buddyzmie), konsekwencja drugiej wręcz przeciwnie, nakazywała pielęgnować troskliwie wolę mocy, odbywać stosowne ćwiczenia, aby módz równie doskonale panować nad własnem ciałem jak i nad siłami przyrody. W cywilizacji chrześcijańskiej problem woli występuje jako problem złej lub dobrej woli. Pozatem bardzo namiętnie dyskutuje się zagadnienie wolności woli, jeden z tradycyjnych problematów teologji i metafizyki. To zabarwienie etyczne występuje i w Kantowskiej metafizyce moralności. Jakkolwiek Kant odmawia etycznej wartości uczynkom spełnionym pod wpływem uczuć, popędów, a więc skrępowanej woli i walczy o wolę „autonomiczną", jednak od woli tej, aby była moralna wymaga, by była *dobrą wolą*.

Najwspanialszy system filozoficzny, w którym wola odgrywała rolę zasadniczą, stworzył Schopenhauer, zbiegłszy się przytem bezwiednie (co sam zresztą stwierdzał) z metafizyczną poezją „Upaniszad“ induskich.

Wola tu staje się zasadą metafizyczną Bytu, a równocześnie siłą organizującą nieskończony potok żywych form, przechodząc wszystkie etapy od mroków najniższej egzystencji do szczytów uświadomienia. Tam tworzy Wola bolesną iluzję świata i tylko jej przezwyciężenie może wyzwolić jednostkę.

Skala olbrzymia! odźwierciadla ona znakomicie historyczne i formalne bogactwo pojęcia Woli i pozwala zrozumieć jej nieodparty urok tam, gdzie racjonalizm i dialektyka ukończyły swe wywody i już nie mają nic do powiedzenia.

III

Spółczesna koncepcja woli bezwątpienia wiąże się z przeszłością. Wprawdzie, moment etyczny zawieruszył się gdzieś, wprawdzie odwołując się do racji i konieczności silnej woli zazwyczaj zapominamy wyjaśnić, czy ta silna wola ma być zła czy dobra (co jest skutkiem powszechnego dziś zobojętnienia na problematy etyczne), niemniej jednak przechowała się wiara w potęgę woli i środki jej osiągnięcia przez koncentrację, ćwiczenia, autosuggestję, a nawet—tu i tam — w związku z okultyzmem, nawiązując w ten sposób do ezoteryzmu wschodniego. Jeśli chodzi o szerokie sfery inteligencji i półinteligencji zawodowej, to naogół pojęcie, charakter i wyraz woli są dziś ogromnie uproszczone.

Wola została oddzielona od wzruszeń i od obrazów; uległa niejako wyłuskaniu z całości kompleksu, tak jakgdyby z człowieka odpreparowano tylko mięśnie. Właśnie współczesna wola to taki mięsień duchowy— organ — lub jeszcze lepiej: narzędzie. Wszystkie tak pospolite w Ameryce „tajemnice powodzenia“, oparte na wyrobieniu silnej woli, usiłują z niej zrobić sprawny i posłuszny przyrząd, potęgujący efekty twórczości techniczno-handlowej. Posiada to oczywiście swoje dobre strony, a dla naszych stosunków i bardzo dobre. Jak wiadomo szybkie zdobycie się na akt woli, skupienie wysiłków na czas dłuższy dla obalenia przeszkód i osiągnięcia jakichś pozytywnych zdobyczy — nie są naszemi cnotami.

Ociężały, nie lubiący swej pracy, zły, traktujący robotę jako dopust boży, robotnik nasz ogromnie zyskałby na wyrobieniu w sobie sprawności, zaradności i łatwości skupiania wysiłków w jednym kierunku. To samo tyczyłoby się i działacza społecznego, który rozprasza się w wielu inicjatywach, zużywa siły na drobiazgi, zamiast skoncentrować swą wolę i działać energicznie w wytkniętym kierunku. I szczepienie idei takiej woli przez pedagogję nowoczesną, wychowywanie młodzieży energicznej, zaradnej, wytrwałej mimo chwilowych niepowodzeń, jest zupełnie słuszne i aktualne.

Wszystko to jest słuszne, ale...

Ale nie wystarczające i niezawsze nawet bezpieczne. Bo wszak mówiąc tylko o woli, nie orzekamy zasadniczo nic o celu. Cel zaś może być zarówno dobry jak zły. Człowiek silnej woli może dążyć do zgubnych celów; żelazna wola potrafi zdeptać niejeden bezbronny kwiat.

Kultywowanie woli jako celu w sobie można dopuścić jedynie pod warunkiem równorzędnego rozszerzania horyzontów osobnika, kultury jego uczuć — społecznych, patrjotycznych, idealnych.

W ten sposób osiągnąć możemy tak pożądaną spójnię między wolą a wartością, do której ta wola zdąża. Nie jest to jednak proces czysto kojarzeniowy. Impulsy nie wiążą się z wyobrażeniami tak łatwo w szeregi jak te między sobą. Żeby wolę związać z wyobrażeniem celu, należy tym celem zainteresować jednostkę, względnie grupę. Zainteresować, a więc skupić uwagę, rozbudzić uczucia i wskazać na możliwość realizacji. Punkty te wymagają bliższego oświetlenia.

IV

Skierowywanie uwagi polega na umiejętności postrzegania wyodrębnień. Gdzie niema czysto zmysłowych różnic w bodźcach, tam trzeba dokonać myślowego aktu wyodrębnienia pewnej treści — zjawiska, pojęcia, normy, sytuacji. Niezbędny tu jest pewien poziom intelektualny, pewna żywość obrazów, wrażliwość na różnice. Potrzeba treści takiej nadać jakiś charakter oglądowy, najlepiej plastyczny.

Tu zaznaczyć mimochodem warto ogromną rolę sztuki, posiadającej w najwyższym stopniu własność uzmysłowiania wszelkich wartości idealnych. Również bardzo szybko budzą się pod jej wpływem różnorodne uczucia, związane z danym przedmiotem.

Sfera uczuć wogóle dwojako wiąże się z wolą, albo ją popycha, albo ją pociąga. W pierwszym wypadku mamy do czynienia z namiętnościami o przebiegu długotrwałym, nie ginącemi po szybkiem wyczerpaniu. Wiadomo, jak np. zaprzysiągłszy zemstę człowiek długie lata poświęcić może dla upatrzonej chwili odwetu. Otóż te związki z wolą nie wchodzą w rachubę przy jej systematycznem kształceniu. Potężne namiętności są czynnikiem dorywczym, nie odgrywają roli w codziennem życiu społeczeństw. Moraliści oceniają je zazwyczaj ujemnie, choć ściśle rzecz biorąc, są one wogóle poza normowaniem moralnem. Ich skutki — to co innego, ale to nas tu nie interesuje.

Namiętności jako potężna *vis a tergo* woli, mogą być tylko rejestrowane w celach pewnego zabezpieczenia się na przyszłość, gdyż ludzi posiadających silne namiętności naogół się unika, chociaż na dystans — interesują bardzo. Inaczej się przedstawiają te uczucia, które pociągają ku sobie. I tu pożądanie posiada charakter namiętności, ale znacznie rzadziej. Trwała orjentacja w kierunku pewnej wartości utrzymuje wolę w napięciu.

Wola, jako potencjalna energja, zamienia się w systematyczne wysiłki; jej wyczerpaniu się przeciwdziała nietylko świadomość zwycięstwa nad przeszkodami, ale i rosnący urok ostatecznego celu. Widzimy jasno, że nietylko ćwiczenie samej woli, woli jako takiej, lecz i urzeczywistnianie kolejno osiąganych celów są bodźcami do czynów.

Zainteresowanie jest pierwszym krokiem do znalezienia celów, pociągających uświadomienie, najmniej zaś budzących pospolite namiętności... Właśnie na ten punkt zamało dziś nacisku się kładzie. Wola jako mięsień, wola jako *sui generis* gimnastyka jest za głośno propagowana. Ilustruje to dolne, mechanistyczne upodobania epoki i powinno obudzić stosowną reakcję w postaci kształcenia zainteresowań. Idee dzieła, teorje, szlachetne ambicje, zamiłowania artystyczne, przyroda, człowiek — wszystko powinno aktywizować wolę, a zarazem wskazywać najbliższe środki. Droga wiedzie przez etapy drobniejszych celów ku większym. Niesłuszna, iż się drobne cele lekceważy gwoli wysokim, ostatecznym i — niestety — często niedościgłym.

Wola musi umieć osiągać cele, jeśli nie wielkie, to małe — byle się nauczyć zwyciężać, wtedy urośnie w siłę. Kulturalna wola powinna nadto umieć wybrać cel godny siebie.

Od Woli metafizycznej schodzimy do fizjologicznej i znajdujemy dziś syntezę w Woli kulturalnej.

LESZEK KONOPACKI

WALKA U ŹRÓDEŁ SZTUKI

(Jerzy Clemenceau o malarstwie)

NIESPOŻYTE są siły 88-letniego starca — Jerzego Clemenceau. Po namiętnie patrjotycznym „Demostenesie", po 2-tomowych rozważaniach „*Au soir de la pensée*", wydał znów co dopiero książeczkę finezyjną i głęboką, poświęconą sztuce przyjaciela, Claude Monet'a.[1])

Znając autora, rozumiemy, że książka ta będzie znów przedewszystkiem ciekawa jako mimowolne źródło autobiografji psychologicznej. Wiadomo, że Clemenceau nie zostawi po sobie pamiętników nijakiego rodzaju. Zastrzegał się już tyle razy przeciw posądzaniu go o tak czarny zamiar, że nie może tu być żadnej wątpliwości. Argumentuje tu jak człowiek dobry i jak człowiek złośliwy; uważa, że „zbyt wielu ludziom zrobićby musiał przykrość" w pamiętnikach, ale sądzi też, że „całe jego doświadczenie nie przydałoby się na nic, bo człowiek w ogólności, a francuz w szczególności, nie lubią doświadczenia słuchać". Dość, że pamiętników nie napisze.

Jeżeli tak, to wizerunek duchowy tego najciekawszego z francuzów doby ostatniej trzeba będzie układać kiedyś ze źródeł postronnych, powiedzeń i enuncjacyj polityka, aktów bojownika z lat 1917 — 19, z odźwierciadlania się w jego wrażliwej duszy estety pewnych zjawisk myśli i piękna, którym — przez całe życie — część uwagi poświęcał.

Książka o Monet'cie jest pod tym względem autobiografji psychologicznej conajmniej tak ciekawą jak studjum o Demostenesie.

Cokolwiekby powiedzieć przyszło o celowości pewnych posunięć przedwojennej polityki Jerzego Clemenceau, o namiętności pewnych jego nienawiści, o krótkim oddechu pewnych jego poglądów natury filozoficznej, jedno jest w nim dla wszystkich podziwu godne: niezłomna tężyzna woli i pęd energji u tego zapaśnika polityki narodowej. Natura bojowa w całem tego słowa znaczeniu, bodaj dlatego właśnie, natura o bogatym podkładzie uczuciowym.

Pierwsze zdania obecnej książki chciałyby nas przekonać, że dominantą uczuciową jest u tego człowieka ironja. Przepyszna ironja: „Przyjmuje się zazwyczaj, że najlepszem nauczeniem w życiu jest przykład „ludzi nieprzeciętnych". Niestety, nie jest wcale łatwo dać definicję „człowieka nieprzeciętnego". Wynaleziono w tym celu wstążeczki u butonierek, ale znamię to nie jest może nieomylne. Claude Monet wybuchał zdrowym, wesołym śmiechem, gdy się go pytano, czemu nie posiadał nijakiego odznaczenia?" Zapewne, ale o jakim to człowieku nieprzeciętnym myśli tu człowiek, usunięty po wojnie z polityki francuskiej — na nieszczęście Francji i, bodaj, Europy?

Jednakowoż, nie łudźmy się. Rozmiłowany w ironji, skoro od niej tu zaczyna, Clemenceau ma inne struny u swego uczuciowego organu. Jest oto głęboko smutnym ten bojownik, stojący u niewątpliwego kresu swego bojowania. Znać to już było w tytule owych tomów „*Au soir de la pensée*", w których może ten tytuł był rzeczą najlepszą. Smutek ten przejawia się i teraz, w zdaniach nieraz przejmujących. „Czas? to radość wołana, która znika w chwili, gdy się zjawia. To także cierpienie, którego się unika tylko za cenę późniejszego odnalezienia go w chwili najmniej spodziewanej". (str. 61).

Smutek ten staje się nam bliższy, gdy przybiera postać bólu po śmierci przyjaciela. Miast zajmować się pustem już tylko echem własnego życia, Clemenceau woli swe lata ostatnie wypełnić kultem przyjaźni. „*Dans les derniers sursauts des heures alourdies, c'est un besoin pour moi de parler de Monet*". W tych „ostatnich wstrząsach ociężałych godzin", ostatnich życia, znać znów psychologję bojownika, stojącego zaiste na straconej placówce.

Ale i teraz, jeszcze teraz, zwłaszcza teraz, życie dla tego człowieka jest bojowaniem, tak jak bojowaniem jest i piękno. Czemu pisze o Monet'cie? „Czuję wielką radość w tem, że mogę go uczcić dla jego twardej walki o prawdę, walki, której nie mogę odłączyć od piękna" (str. 76).

Zbiór „*Grandes vies, grandes oeuvres*", kierowany wprawną i subtelną ręką pani Baldensperger, żony znanego historyka literatury, jest rodzajem Plutarcha francuskiego dla młodzieży francuskiej. Czemuż żywot Claude Monet'a w tej kolekcji? Snać, nie idzie naszemu autorowi tylko o rezultat twórczości malarskiej Monet'a, o jego dzieło, ale głównie o stosunek tego dzieła do energji twórczej malarza. Oczywiście, ten odlatujący starzec chce swej ukochanej młodzieży podać rękę pomocną w postaci pewnego zdefinjowania *ad oculos* żywej formy pięknego sposobu przewalczania życia. Wraca do tego niezmordowanie: „Nie znam dramatu szczytniej poruszającego, jak widok życia ludzkiego, które poddaje się celom ideału nieprzepartym przelewem entuzjazmu, kierowanego dobrą regułą ciągłego porządku woli".

Takie życie ma ostrze czynu i pęd lotu. Życie Monet'a? To „pocisk, rzucony w kierunku nieskończoności, do której nigdy nie doleci, choć wciąż lecieć będzie", „strzała, puszczona pociągnięciem woli". Jakże dantejskim jest ten człowiek-strzała:

> *E si come saetta, che nel segno*
> *percote pria che sia la corda queta...* (Par. V 91).

tylko że artysta właśnie nigdy do celu dolecieć nie może...

Szanując intencje autora, i my tu zajmiemy się głównie, nie problematami malarskiemi, związanemi z obrazami Monet'a, ale naturą jego energetyki twórczej. Twórca i przodownik impresjonizmu, Monet, dziś należy do przebrzmiałego kierunku. Clemenceau, wierny entuzjazmowi swoich lat młodych, nie chce może i wiedzieć o etapach reakcji przeciw impresjonizmowi. Pełen zachwytu dla ostatniego dzieła Moneta, dla *Nymphéas* z Tuileryj, jest również i pełen pogardy dla krytytów tego dzieła. Nam tu nie idzie jednak o krytykę obrazu, ale raz jeszcze o zagadnienie natury twórczej takiej, jaką ją widzi nasz bojowy Clemenceau w przodowniku impresjonizmu.

Clemenceau opiera się na wspomnieniach własnych, na obserwacji Monet'a przy pracy. Zaiste widok wart spostrzeżenia. Długie chwile zadumy przed krajobrazem, zadumy—myśli, natarczywego, uporczywego, namiętnego badania tego, co się chce oddać. Naprzód pracuje oko. Oko Monet'a było całym człowiekiem. „*L'oeil de Monet, il n'était rien moins que l'homme tout entier*". Urodzony w Paryżu, młodość spędza w Hawrze, nad morzem, gdzie wichry mieszały mgły morskie niby farby na palecie. Wojskową służbę odbywając w Afryce, z mirażu morskiego północy przechodzi do fatemorgany południowej. Z tych podróży Monet wychodzi nasycony barwą i światłem, które

[1]) J. Clemenceau „*Claude Monet, Les Nymphéas*", Paris 1928, w zbiorze „*Grandes vies, grandes oeuvres*" u Plona.

przez życie całe będzie odtwarzał, dając fenomenalne tworzywa barwne na palecie, co jest już wielką częścią jego genjuszu.

Dla naszego Clemenceau całe życie Monet'a przedstawia się jako walka z światłem i barwą, które bronią swej tajemnicy. „Milcząco stawał przed modelem i sztyletował go wzrokiem, bombardował znakami zapytań, przenosząc szybko rezultaty badania na ekran, wśród lekkich skurczów twarzy, znamionujących drogę od źrenicy do przedmiotu i od oka do obrazu".

Walka ze światłem i barwą! Sam Monet wyznaje, że to zmaganie się stanowi jego radość i mękę każdego dnia. Utraciwszy osobę drogą, dochodzi do tego, że podświadomie, stojąc przy jej łożu, bada degradacje barwne na jej skroniach. Oto może genjalność: postanowienie zawładnięcia tajemnicą światła i barwy zawładnęło nim z kolei i nie puszcza go nawet wtedy.

Tę walkę, to zmaganie się całożyciowe, Clemenceau przedstawia etap za etapem. Zaczęło się to od „Stert". Grupa 15 obrazów, przedstawiających sterty zbóż o różnych porach dnia i roku. Jak malowane? Szereg sztalug na wolnem powietrzu, na których Monet piorunowo, przechodząc od jednych do drugich, notował różne etapy walki swego oka ze słońcem... Po „Stertach"—„Topole", po „Topolach" znane „Katedry" w końcu, w których, jak ślicznie mówi Clemenceau, kamień się ruszył z bezwładu, widać go przechodzącego z jednego etapu świetlnego w drugi...

Jeżeli tak, im barwa będzie bardziej lotna, bardziej nieuchwytna, bardziej przejściowa, tem dramat walki o nią stanie się namiętniejszy i patetyczniejszy. Skrajne przeciwieństwo do Lessingowego kryterjum permanentności piękna. Stąd ostatni etap „*Nymphéas*", owych wodnych kwiatów, rosnących na stawie w ogrodzie malarza. Kwiaty tam łowią światło i barwę z nieba i powietrza i oddają je wodzie, która wszystko to, światło, barwę i kwiat, wchłania, subtylizując i deformując po swojemu. Stałe krążenie materji świetlnej, zmienne z porą dnia i roku, zależne od kaprysu chmur na niebie...

„...Prometeusz wykradł bogom ogień. Monet, zwykły śmiertelnik, powziął zamiar wykradzenia światła niebu"... Zwykły śmiertelnik, ale nowoczesny tytan walki o piękno i prawdę. I jakże tytanicznym gniewom zapala się stary Monet, kiedy, niezadowolony nieraz z arcydzieł, niszczy je raniąc i tnąc je bezlitosnym nożem, nieraz kopiąc je brutalnie i odsyłając w ciemną nicość te twory światła, prawdziwszego już od otaczającej rzeczywistości...

Oto jakie jest wyobrażenie *Père de la Victoire* o problemie sztuki. Jest to problem walki. Albowiem „niebo i równina, dolina i góry, wody i lasy, całe życie i świat zmienny, ofiarują się nam i oddają z tym jednak warunkiem, że odbierają nam siebie, skoro tylko je chcemy zatrzymać i utrwalić". Stąd walka nierówna, bezlitosna, tytaniczna między okiem malarza a światłem i barwą. Walka nigdy nie zakończona, nigdy nie zwycięska, bo zmaganie to kończy się tylko częściowem wydarciem tajemnicy..

Sądzimy, że z kolei i stary Clemenceau w części tylko określił tu tajemnicę Monet'a. Ale jakże znamienny jest ten widok „tygrysa", zabierającego się na starość do rozważań estetycznych.

Odnajduje oto w sztuce jedno tylko: walkę.

WŁADYSŁAW FOLKIERSKI

TOWIANIZM WE WŁOSZECH

(Dokończenie)

Po śmierci Piusa IX, Canonico rozesłał pismo Towiańskiego do kardynałów, wydając równocześnie dziełko p. t. „Nowy Papież", w którem wyrażał nadzieję, że spełni się pragnienie narodu, by nowy papież przyniósł słowa życia, zwracając dusze ku Bogu. Canonico przez swoją powagę i autorytet w społeczeństwie wiele uczynił dla Sprawy, krzewiąc ją w swem otoczeniu, przedstawiając Garibaldiemu, Cavourovi, członkom rodziny panującej, wzywając mężów stanu do udziału w odradzaniu chrześcijaństwa. Wyprawa do Garibaldiego na Kaprerę w r. 1860, opisana szczegółowo w relacji wszystkich 4-ch uczestników: T. Canonico, H. Forni, F. Gutta i J. Scovazzi, miała pobudzić włoskiego patrjotę do uznania w prawie Chrystusa źródła sił i postępu. Garibaldi słuchał zrazu podejrzliwie słów przybyszy, potem zainteresował się niemi i ożywił. Wreszcie uznał słuszność ich obserwacyj współczesnych stosunków, ich dążeń do uczynienia z religji czynnika wyższego życia.

Canonico zasłużył się Sprawie także jako autor książki o Andrzeju Towiańskim, wydanej w r. 1896 w Rzymie, w następnym roku tłumaczonej na język francuski i polski. W pracy tej, pisanej lakonicznie, znalazły się niezbędne tylko uwagi i relacje autora, który pragnął uwydatnić charakter Sprawy przez cytaty z dzieł Towiańskiego i ze świadectw o nim składanych. Wiadomości biograficzne nie wiele tu uzyskały miejsca. Takie było życzenie braci.

Canonico wykończył bowiem już w roku 1894 obszerną biografję mistrza, zredagowaną po francusku, na którą złożyły się liczne szczegóły, zebrane w czasie podróży po Polsce, z ust najstarszych uczniów Towiańskiego. Ten typ pracy, wybitnie biograficzny, wydawał się wówczas przyjaciołom autora mniej właściwy Chodziło im o pokazanie nie człowieka, ale Sprawy Canonico zostawił więc w rękopisie tę pierwszą redakcję, liczącą zgórą 700 stronic, podjął nowy trud i w ten sposób powstała znana książka o Andrzeju Towiańskim.

W roku 1864 przybył Kołu turyńskiemu nowy brat i współpracownik, Attilio Begey. Urodzony 4-go stycznia r. 1843 w Bresci, jako 5-cio letnie dziecko patrzył na walki o wolność Włoch. Jego miasto rodzinne przechodziło kilkakrotnie w ręce austrjaków. Wtedy to po raz pierwszy spotkał się z imieniem Polski. Wniósł je w dom Begey'ów pewien oficer austrjacki, który widząc przestrach mieszkańców, zawołał: „Nie bójcie się, jestem polakiem, nic złego wam się nie stanie". Słowa te wyryły się na zawsze w przedziwnie wdzięcznej pamięci dziecka. Wzrastał chłopiec w atmosferze walk i dążeń wolnościowych, modlił się o broń i orły narodowe. W 16-ym roku życia zgłaszał się dwukrotnie do szeregów Garibaldiego, ale odmówiono mu przyjęcia dla wady serca. Wcześnie zaczęło w nim kiełkować powołanie religijne. Studjując prawo na uniwersytecie w Turynie, przechodził walki wewnętrzne, szukał prawdy w kołach spirytystów, aż wreszcie usłyszał o Andrzeju Towiańskim. W r. 1864 udał się pieszo do Zurychu, by osobiście poznać polskiego mistyka i wyspowiadać się mu z najgłębszych

swych tęsknot religijnych. Od tej pierwszej rozmowy został sługą Sprawy i wytrwał w trudnej służbie do końca życia przez lat 64.

Mawiał o Begey'u Towiański, że nie na brak energji i zapału będzie się w życiu uskarżał, lecz raczej na ich nadmiar.[1])

Wcześnie stał się Begey prawą ręką Tankreda Canonico, nawiązał serdeczne stosunki z polskimi braćmi, zżył się z nimi, rzec można pozyskał wówczas w Polsce drugą ojczyznę. Był odtąd łącznikiem między Włochami a Polską, potem najgorliwszym wydawcą i archiwarjuszem. Dzięki jego zabiegliwości i energji dochodziły do skutku liczne wydawnictwa źródłowe, przedruki, przekłady i wypisy. Turyn stał się ośrodkiem ruchu wydawniczego. Drukowano tu pisma Sprawy w języku polskim, włoskim i francuskim. Wielkie 3-tomowe wydanie Pism Andrzeja Towiańskiego zredagowano po polsku (tłumacząc niektóre teksty). Wypisy z tego zbioru pojawiły się później w języku włoskim i francuskim. Szczególnie ważne dla dziejów włoskiego towianizmu stały się następujące publikacje źródłowe: „*Testimonianze di Italiani su Andrea Towiański*", Roma, 1903, „*Fra Luigi da Carmagnola*" Torino, 1909 i „*S. E. Monsignore Puecher Passavalli, Archivescovo d'Ieonio*", Torino, 1911.

Ostatnie z tych trzech wydawnictw rzuciło ciekawe światło na okres soboru watykańskiego, odtwarzając nastroje, panujące wówczas wśród katolików. Prowincjał kapucynów, potem kaznodzieja papieski, arcybiskup Passavalli, poznawszy T. Canonico, a przez niego Sprawę doznał wprost olśnienia, bo znalazł w niej te drogowzkazy, które jemu nieraz wydawały się jedynie zbawcze. W listach, pisanych do braci włoskich i polskich (zwłaszcza do T. Canonico i Stanisława Falkowskiego) wyrażał niejednokrotnie żal, że nie mógł poznać osobiście tego „świętego polskiego", który w piśmie do papieża przemawia doń z taką pokorą, a jednocześnie z taką swobodą. Arcyb. Passavalli odnajdywał w nauce Towiańskiego wiele własnych poglądów i przeświadczeń. Łączyła go z mistykiem polskim cześć głęboka i czynna dla ideałów pierwotnego chrześcijaństwa, pragnienie misji religijnej na wszystkich polach życia jednostek i narodów, łączyła idea Kościoła, w którym wierni nie byliby ani niewolnikami ani rebeljantami. Łączył wreszcie stosunek krytyczny do formułującego się dogmatu o nieomylności papieża, ale nadewszystko łączyła głęboka wiara w boski początek katolicyzmu. Dodać należy i podkreślić subordynację niezwyczajną Towiańskiego i jego uczniów względem postanowień i nakazów kościelnych. Nawet wtedy, gdy ich indywidualne sądy i odczucia nie zgadzały się z wolą władzy duchownej, w żadnym wypadku nie podnosili buntu i w chwilach najcięższych nie wypowiadali posłuszeństwa. Zanim zasada nieomylności papieża w rzeczach wiary stała się dogmatem, Towiański walczył z nią, walczył z nią także arc. Passavalli. Po uchwale soboru watykańskiego obaj zdławili w sobie opozycję, zamilkli.

Dwie kwestje, które najjaskrawiej uderzyły w towianizmie, wywołując sprzeciwy teologów: kwestja czasowości kar i idea reinkarnacji, budziły także wątpliwości w arcyb. Passavallim. Wprawdzie Passavalli nie widział w nauce o metempsychozie błędu i herezji, ale zasady tej nie przyjmował za własne wyznanie wiary. Nie była też ona nigdy dogmatem Sprawy. Towiański wyprowadzał ją z danego mu „objawienia"[2]) jak wielu mistyków i świętych swoje idee. Nikomu nietylko tej wiedzy nie narzucał, ale wręcz się wystrzegał, by nie mówić o niej wobec tych, którym mogłaby wyświadczyć szkodę moralną. Jak prawdziwy mistyk[3]) uznawał o tyle tylko boski charakter swych wizyj, o ile wychodził z nich bardziej doskonałym. Chciał swe życie wewnętrzne przedstawić papieżowi, ale niedopuszczono go do audjencji. Mówił o tem raz ze smutkiem Towiański Begey'owi, wskazując na plikę papierów, zawierających przeświadczenia z tej dziedziny. Postanowił wtedy pisma te zniszczyć[4]). Korespondencja Passavallego z uczniami Towiańskiego toczyła się również na temat dogmatu o piekle. Arcybiskup włoski skłaniał się ku interpretacji kary piekła jako wiecznej dla okresu trwania winy grzesznika. Twierdził, że można przypuścić odrodzenie duchowe potępionego, a wtedy kara musi ustać.

Arcyb. Passavalli nazywał Towiańskiego „świętym", jak brat Ludwik z Carmagnoli, jak wielu włochów. Upominanie Kościoła nie wydawało się arcybiskupowi czemś dziwnem czy zuchwałem. W żywotach świętych spotykał wiele podobnych aktów gorliwości religijnej. Ducha Sprawy odnalazł w jej uczniach. Stanisława Falkowskiego porównywał z pierwszymi naśladowcami św. Franciszka z Asyżu, a ruch cały poczytywał za zbawczy w życiu Kościoła.

Po śmierci Towiańskiego ruch włoski rozwijał się dzięki stałemu dopływowi sił polskich, wzmógł się przeto i już za przewodnictwa T. Canonico górował nad polskim towianizmem. Ostatni z tych, co znali osobiście Towiańskiego, Attilio Begey objął zarząd nad archiwum Sprawy, nazywając siebie depozytarjuszem świętości. Jego rodzina, zjednoczona z nim w pracy ideowej, stała się mocną placówką towianizmu, córka Begey'a, p. Borsano pokusiła się o pierwszą monografję o Towiańskim i próba wypadła poważnie.

Begey podtrzymywał wszystkie kierunki prac i dążeń sprawy. Każdemu z papieży przedstawiał jej zasady, dążąc do kanonizacji ukochanego nauczyciela.

Śmierć ś. p. Begey'a 25-go października r. 1928 zabrała Kołu nietylko jednego z najgorliwszych i najwierniejszych braci, ale także jego wodza, chorążego sztandaru Sprawy, który nie znalazłszy podobnej czci w Polsce, znajduje się dzisiaj we Włoszech.

Kiedy się myśli o ś. p. Begey'u i jego życiu, obok innych cech włoskiego towianizmu, wybija się jedna jeszcze jego właściwość: głęboka przyjaźń i uznanie dla Polski. Musiał Towiański godnie reprezentować na obczyźnie typ polski, jeżeli wskutek jego przedewszystkiem działania bracia włoscy widzieli w Polsce perłę Słowiańszczyzny. Begey tę tradycję włoskiego Koła podniósł jeszcze i rozwinął. On to w czasie wielkiej wojny organizował komitety pomocy jeńcom polskim, jego staraniem wzniesiono w Ivrei, mieście piemonckiem, pomnik zmarłym tu dwustu żołnierzom naszym. On, dowiedziawszy się o przejeździe przez Turyn Wilsona, przyszedł na stację z delegacją włoską i wręczył mu adres, głoszący w słowach mocnych i przekonywających potrzebę wznowienia państwowości polskiej. Nagrodzony krzyżem Polski Odrodzonej, jako konsul honorowy w Turynie stworzył Towarzystwo Włosko-Polskie, inicjował obchody i uroczystości, związane z kulturą i sztuką polską, był inicjatorem kursu języka polskiego w swem mieście rodzinnem. Begey przekazał nam żywą wiarę mickiewiczowskiego pokolenia, przechował ducha towia-

[1]) Szczegół ten pochodzi z ust samego Begey'a.

[2]) X. Edward Duński, „Listy", wydali Attilio Begey i Józef Komenda. Turyn, 1915, str. 57.

[3]) H. Joly, „*Psychologie des Saints*", ed. 14, p. 99.

[4]) Mówił mi o tem Begey w lutym r. 1928.

nizmu w jego najprostszej i najszlachetniejszej postaci. Oddziałał na młodsze pokolenie Włochów. Z niego to wyszedł malarz medjolański Fossombrone, autor obrazu, przedstawiającego apoteozę Towiańskiego.

Towianizm włoski rozwijał się spokojnie, bez wstrząsów i załamań, bez gwałtownych walk politycznych. Nie miał swego Mickiewicza. Był ruchem przedewszystkiem religijnym. Poeci nie odegrali w nim wybitnej roli. Zależność np. powieściopisarza Fogazzaro od towianizmu, mniej znaczna niż się zazwyczaj sądzi, wyrażała się raczej w potwierdzeniu skrystalizowanego już wcześniej ideału.

Towiańczycy włoscy, jak polscy, pochodzili głównie z inteligencji, tylko że nie byli to literaci, ale adwokaci, inżynierowie, lekarze, duchowni. Udział duchowieństwa zaznaczył się w ruchu włoskim znacznie wybitniej niż u nas, silniej też przejawiła się dążność do pozyskania dla Sprawy Watykanu.

Towiański w przekonaniu włoskich towiańczyków i ich sympatyków był „świętym polskim", któremu należy się kanonizacja.

W historji Włoch północnych towianizm ma swoją kartę, jako jeden z czynników odrodzenia religijnego w duchu katolickim.

ZOFJA SZMYDTOWA

NOWA SZTUKA SIEDLECKIEGO

WYSTAWIONA w teatrze Polskim sztuka Adama Grzymały-Siedleckiego „Włamanie" wywołała w świecie teatralnym wielkie zainteresowanie. Teatr jest stale pełny, publiczność przerywa grę oklaskami i nie szczędzi pochwał. Krytyka w prasie wolnomyślnej, źle usposobiona do autora szuka zarzutów, ale bez powodzenia. Wszyscy zgadzają się na to, że Siedlecki zbudował rzecz znakomicie i że sztuka od początku do końca bez załamania nastroju porywa słuchaczy.

Zdarzyło się, że „Włamanie" możemy zestawić z zachowaną w świeżej pamięci sztuką pisarza czeskiego Franciszka Langera „Przedmieście", którą niedawno wystawiono w tymże teatrze. Langer eksperymentował swoją tezę na duszy proletarjackiej, żeby ukazać w czystej postaci zagadnienie winy i płynącego z niej postulatu kary. Zwracałem w tem miejscu uwagę na to, że pisarz czeski wzorem pisarzy rosyjskich obrał dlatego najniższą klasę bytowania społecznego, że tam najwięcej według niego jest „głosu natury", a zagadnienie samo leży w głębokości natury ludzkiej. Siedlecki bohaterkę swoją Karolinę wydobył z tychże sfer, aby również eksperymentować tezę etyczną. Ale — rzecz charakterystyczna — postawił sprawę, jak przystało na pisarza zachodniego, na gruncie psychologji społecznej, bez cienia mistycyzmu. Sprawa czystości motywów i dróg jest u niego zagadnieniem społecznem. Kiedy Langer swoich czeskich bohaterów sztuki zrosyjszczył, Siedlecki nawet rosjanina, jaki mu się w sztuce zdarzył, spreparował odczynnikami pojęć zachodnich na typ zupełnie dla nas zrozumiały i sympatyczny.

Zagadnienie Siedleckiego nie jest socjalne, jak się to ludziom nieobytym z kwestjami moralnemi mogło zdawać, lecz raczej socjologiczne, mianowicie: czy można się utrzymać na wyżynie cywilizacji, znalazłszy się tam prawem kaduka?

Pytanie takie może zadać tylko pisarz, który stoi na gruncie organiczonego rozwoju cywilizacji, a tej pierwszym tworem jest społeczeństwo ze swoją moralnością. Układ społeczny w zasadzie nie jest wynikiem mechanicznym siły i przebiegłości, lecz rezultatatem pracy duchowej. Naturalny proces dobywania się elity, która dlatego tworzy górę społeczeństwa, że kieruje sprawami cywilizacji, jest z natury rzeczy selekcją według wkładów twórczych i wykazanej siły moralnej. Elita bowiem stoi na czele nietylko siłą swego prawa zdobytego, ale też i siłą moralnej za całość odpowiedzialności, siłą obowiązku. Moralność integralnie z życiem cywilizacji jest związana, jak praworządność z życiem państwa.

Tezy t. zw. moralne są nudne, nawet śmieszne dla jednostek, grup, czasami pokoleń, które wszystko mechanizują, którym się wydaje, że rozwój można zastąpić faktami siły, że świat się bawi lub dramatyzuje według tego, czy posiada czy też nie posiada. *Beatus possidens, beatus qui tenet*. Głęboko kulturalny europejczyk, Ruskin, powiedział rzecz zastanawiającą nietylko dla jednostek: „Najsmutniejszym losem, jaki może nas spotkać, jest posiadanie wolności bez zasłużenia na nią". Zagadnienia moralnego tutaj zawartego nie zrozumie ten, dla którego wolność jest pojęciem mechanicznem, np. sprawą drzwi niedomkniętych.

Sprawa uzasadnienia moralnego każdej pozycji w społeczeństwie jest zawsze dramatycznie aktualna, pomimo drwin, na jakie jest narażona ze strony ludzi bez skrupułów. Siedlecki ją podniósł, wybierając w tym celu jedną z dość pospolitych pozycyj towarzyskich.

Oto dama z niewiadomą przeszłością, królująca w świecie cywilizowanym. Umyślnie dla wyjaskrawienia przykładu wziął moralność nie w oderwaniu, jako grzech czy zły obyczaj, lecz jako szczeblowanie w górę w pogoni za środkami materjalnemi bez wybredzania w środkach moralnych. Pokazuje się, że osoba ta, porwana prądem użycia ze sfery najniższej, zanim przebyła drogę błotnistą, zabiła w sobie instynkt uczciwości, karotując ukochanego chłopca, zabiła uczucie dziecka wobec matki, a potem wplątała się w afery dalsze bardziej społecznego charakteru, jak fałszywy paszport, oszustwo wobec męża, że jest córką rosjanina i t. p.

Siedlecki pragnął pokazać, że dama owa mogłaby nawet stanowisko zdobyte utrwalić zewnętrznie, gdyby ono było pewne moralnie, t. j. w niej dla niej samej. Zdarzyło się, że odwiedził ją pierwszy raz po latach ów fałszywy, poczciwy zresztą, ojciec (uciekł z Bolszewji). Wiele pił podejmowany gościnnie przez męża; bała się jego gadatliwości. Na wyrównaną toń życia zdobytego padło coś, co zaczęło roztaczać kręgi niepokoju. Zagłuszone wspomnienia zaczęły wydobywać z tej toni głowę. Gdy jednocześnie mężczyzna, wyznający jej miłość, ujął ciepło jej serce, zaczęło ono głośno mówić, zrywając nakazy bajecznej karjery. Wyżyna, którą zajęła w społeczeństwie, dała jej poznanie rzeczy, więc teraz poruszone serce znalazło się nagle w dramatycznej łunie świadomości. Szła dotąd zahypnotyzowana po linie; teraz spostrzegła, że nie ma gruntu pod nogami. I oto chwieje się nad przepaścią.

Ta przepaść nie była jej złudzeniem, ona jest dla Siedleckiego prawdą objektywną. Nie obrócił też sztuki w komedję, że ten koszmar śni się tylko kobiecie. Siedlecki pokazał, jak kobieta pada w tę przepaść, którą jej odsłoniło własne serce, a która jednak jest przepaścią społeczną, nie osobistą. Mogło się to stać z innego powodu, mogło zastukać wtedy do drzwi widmo matki, której się zaparła, mógł wygadać się podrobiony ojciec, że weszła do tego domu oszustwem. Autor wybrał co innego: z pod ziemi (w osobie włamywacza do banku jej męża), wynurzyło się widmo jej pierwszego kochanka, jedynej miłości, jakiej zaznała i jaką zabiła w sobie. On schwytany na uczynku poruszy na sądach, wzywając ją na świadka, cały aparat społeczny i opinję publiczną, aby ją zmiażdżyć.

Wszystko to jednak: i zburzone ognisko tak świetne, i kompromitacja, i upadek w niziny są dla niej rzeczą zewnętrzną. Zrzeka się prawa ratunku; darmo wyciągają się do niej ramiona człowieka, który ją chce schwytać padającą; obojętne jej nawet staje się, że mąż chce ją odzyskać. Katastrofa nastąpiła w niej samej, odkąd poznała prawdę.

Nie socjalny to konflikt, lecz dramat, płynący z poznania, że prawa moralne mają byt realny w życiu społecznem i będąc treścią człowieczeństwa w jednostkach, stanowią o ich losie.

Temat dramatu tak ujęty przedstawia dla twórcy niemało trudności. Na przestrzeni trzech aktów może on w oczach widza znaleźć tylko swoje rozwiązanie, ale właściwie zaczął się przed laty od pierwszego fałszywego kroku (ucieczki z cyrkiem). Dawny szablon dramatu, jedność czasu i miejsca, pokutuje do dzisiaj w estetycznym postulacie zgrabności sztuki, aby przyczyna była w akcie pierwszym, a rezultat w ostatnim. Ale życie zna związki przyczyn i skutków odleglejsze. W Ibsena „Upiorach" wielką rolę odgrywa nieżyjący ojciec bohatera, o nim wciąż mowa i o przeszłości. To, co się dzieje u Siedleckiego to także dzieje upiorów. Włamały się one w uregulowane formalnie życie, jako rzeczywistość, drwiąca z formalności.

Zabawny w swojej ponurości jest widok, jak ludzie ze złem obyci i czyniący z moralności rzecz umowną, reagują na tak postawioną tezę. Przedewszystkiem, powiadają, dzieje grzechu zaczęły się tutaj od skradzionego guldena: co znaczy jeden gulden? Złodziej młodociany mógł go zwrócić centami i nie byłoby grzechu. Potem skradł 15 złr. — to już suma poważniejsza. A jednak... i t. d.

Dramat Siedleckiego ze swoją prostą, odwieczną tezą moralną musiał się spotkać dziś w Warszawie z oddźwiękiem podobnym. Niewiarogodną wersją moralności wydają się w pewnych sferach legendy o sumieniu i włamaniach do niego. Siedlecki z tem się nie liczył, napisał rzecz dla serc zdrowych. I dobrze utrafił. Sztuka doznała niezwykle gorącego przyjęcia.

Żałuję, że nie mam miejsca na obszerniejsze motywowanie. „Włamanie" jest dziełem niepospolitej wartości artystycznej. Dawno nie widziało się sceny tak mocno zespolonej z publicznością, przeżywającą zdarzenia. Ten fakt, przez nikogo niezaprzeczony, decyduje o dalszych dziejach tej sztuki.

Zasługa też w tem niemała teatru Polskiego — reżysera i artystów. Nikt lepiej nie mógł wykonać roli głównej, jak p. Przybyłko-Potocka. Wszyscy aktorzy dobrze grali (jakże dobry był np. woźny bankowy!) Wprowadzony do sztuki Rosjanin trafił w Junoszy-Stępowskim na wielkiej miary artystę.

ZYGMUNT WASILEWSKI

NIEBIESKI GOŚĆ

(z poematu o Chrystusie)

* * *

Za ową bramą, której niewierny się lęka,
progu życia z rozpaczą trzymając się wściekłą,
głosił wieczność, co w gromkich słowach Jego pęka
na dwa przeciwne światy: na Niebo i Piekło.

W niebie zakwita miłość, której nakształt słońca
przyświeca sama Boga Twarz — w blasku ujrzana.
W piekle pośród głębokich ciemności bez końca
zieje nienawiść — szczuta klątwami szatana.

Niebu naprzeciw — choćby przez krwawą Golgotę
warto iść, łamiąc krzyżem ramiona omdlałe.
Piekła się chroniąc — pokus wonne jabłka złote
warto deptać, choć szczęścia sokiem są nabrzmiałe.

Do nieba wejdą wszyscy obleczeni w białość
niewinności, lub w świętych swych łez jasną skruchę.
Do piekła — wszyscy strojni w szkarłatną wspaniałość
pychy, którzy po zbrodniach oczy mieli suche...

* * *

Więc cały Świat i Zaświat, choć pomiędzy niemi
leży noc, poza którą wzrok żaden nie sięga —
ogarnął w Swoich mowach, największych na ziemi,
On, który nie znał granic: Jedyna Potęga.

Życie i Śmierć: dwóch wrogów, walczących bez paktów,
których strategję ludzkość napróżno wyśledza —
pochwycił triumfalnie w pęta słów i faktów
On, co nie znał zagadek: Jedyna Wszechwiedza.

Zło i Dobro, splątane myśleniem człowieczem
w supeł, z którego rozum nie umiał ozdrowieć —
przeciął błyskiem Swych sądów, niby jasnym mieczem,
On, który nie znał wahań; Jedyna Odpowiedź.

Od Ziemi w Niebo praw Swych przerzuciwszy mosty:
dla ludzi dobrej woli wskazany kierunek —
nauczył żyć i umrzeć w sposób bardzo prosty
On, co nie znał trudności: Jedyny Ratunek.

* * *

Nauka Jego krótka. Czyż nie okruszyną
wydaje się wśród wielkiej słów ludzkich zamieci
ta garstka prawd, co zwane są — Dobrą Nowiną?
A jednak to jest dosyć dla wszystkich stuleci.

A jednak to jest dosyć dla całej ludzkości,
dyszącej zawsze jednem o cel swój pytaniem:
dosyć, aby módz Światło poznać wśród ciemności
i w najwyższym zachwycie — spokojnie pójść za niem.

ANNA SŁONCZYŃSKA

LIBERUM VETO

Rozczepienie się opinji publicznej.—Marjawityzm polityczno-społeczny.—Podarta dusza narodu.—Cudza twórczość.—Tłumaczenia i ich arcydzieła.—Osłabienie narodu.

NA obszarze Rzeczypospolitej polskiej wychodzi około 3000 czasopism — ilość nieproporcjonalna ani do sumy ludności, ani do jej kultury z 40% analfabetów. Widocznie w tym ogromie drukowanego papieru kryje się jakaś przyczyna rozstroju umysłowego. Organ opinji publicznej rodzi się tylko z potrzeby społecznej, albo z ambicji jednostkowej. W pierwszym wypadku ma szeroką i mocną podstawę istnienia, w drugim — szczupłą i kruchą. Oczywiście w owej 3000 masie daleko więcej musi być pism drugiego rodzaju, co się okazuje z ich częstej śmiertelności i nędznego żywota. Podobno w całej prasie polskiej niema dziesięciu wydawnictw pokrywających swoje wydatki z prenumeraty lub przynoszących zyski. Reszta żyje z ofiar dobrowolnych i przymuszonych, z zapomóg prywatnych i najmów rządowych. Ta nadmierna ilość czasopism świadczy o rozszczepieniu się opinji publicznej na bardzo drobne strumyki, niezlewające się w szerokie i głębokie prądy. Może niema w naszem życiu społecznem innego równie wymownego dowodu jego rozkroplenia się i rozproszkowania, ciągłej fermentacji, która nie może dojść do stanu równowagi w układzie stałym, łączącym pierwiastki pokrewne w związki zasadnicze. Państwo polskie pozostaje dotąd nie budową wykończoną, ale stosem surowych, nieobrobionych materjałów, z których rozmaici improwizujący architekci i majsterkowie klecą naprędce ladajakie szopy, łatwo rozwalane byle wstrząśnieniem lub same walące się własną fuszerką. Niewątpliwie przykrym i wstrętnym jest widok obecnej prasy polskiej z rojącem się w jej błocie robactwem, z gadzinami tuczonemi z ubogich zasobów narodu, ze spekulacją na jego najniższych instynktach, z bezwstydem i bezczelnością, ale daleko boleśniejsze jest to podłoże kulturalne, na którem ta prasa wyrasta. Jest ona bowiem objawem wtórnym, pochodnym, znakiem niemocy i choroby, tkwiącej we wnętrzu społeczeństwa. Gdyby ono było należycie i trwale zorganizowane, gdyby nie było ciągle wstrząsane przewrotami, rozstrajane bezprawiem, zatruwane bezkarnemi gwałtami i nadużyciami, zaburzane samowolą, nie byłoby ohydnego i dzikiego chóru wrzasków, mianujących się głosami opinji publicznej. Wydziwiana bywa odzywająca się często tęsknota do czasów przedwojennych. Ale nie należy jej brać tylko w odniesieniu do różnicy w materjalnych warunkach bytu. Niezaprzeczenie większą wartość ma niepodległość z drogim chlebem, niż niewola z tanim; czy jednakże obecna zaraza moralna, przemiana wzlotów orlich na czołganie się płazów, świetlistych gwiazd na mizerne kaganki, powszechnie czczonych bóstw na miejscowe i czasowe fetysze — nie jest olbrzymią stratą? W męczeństwie niewoli pragnienie wolności oczyszczało wszystkie nasze uczucia z miazmatów samolubstwa, mieliśmy ogólnie wyznawaną religję patrjotyzmu. A gdzie ona jest dziś? Czy ją godnie zastąpiły niezliczone i drące się ze sobą sekty polityczno-społeczne, kapliczki przerobione z bud jarmacznych, a w nich popisy fakirów, czarowników, oszustów i bałwochwalców? Nasz patrjotyzm poza kołem inteligencji prawdziwie narodowej i poza masą ludową, ten patrjotyzm, który krzyczy, wypasa się, bandytuje i rozkazuje, jest rodzajem polityczno-społecznego marjawityzmu wraz z tajemniczością, plugawym i rozpustnym klerem sekty. W każdym narodzie zdrowym, żywotnym, silnym, twórczym biegnie zawsze jakiś bystry, szeroki i głęboki prąd życia, konserwatywny, postępowy lub radykalny, wobec którego inne słabsze są tylko bocznemi rozpływami; czy on jest u nas? Czy może jest nim „sanacja"? Błotny potok, w który stojący nad jego brzegami nieprzerwanie pluje.

Twórczość naukowa i artystyczna nie może rozwijać się bez gruntu, w oderwaniu, w próżni. Najpłodniejsze i najoryginalniejsze duchowo są społeczeństwa jednordzeniowe. Związek odrębnych ganglionów, mieszanina etnologiczna, zrzeszenie wielomienne nie sprzyja tej twórczości, która wymaga wielkiej, jednolitej, zorganizowanej, swoistą duszą ożywionej masy ludzkiej. Dusza polska została po wojnie podarta na strzępy, które nie są zdolne do wydobycia z siebie siły twórczej o wysokiem napięciu. Widzimy to w najnowszej beletrystyce. Jej zmierzch rozświetla się blaskiem gwiazd dawniej płonących. Nowe wydania odświeżonych, zewnętrznie wystrojonych, przy huku dział reklamy wprowadzonych na targowiska księgarskie, zajmują ciągle pierwszy plan literatury. Świeże prace stoją w ich cieniu i daremnie usiłują słabemi skrzydłami wzbić się wysoko. To nie brak nowonarodzonych lotnych talentów, ale duszna atmosfera, zmieszana z rozmaitych partyjnych i osobistych oparów, ze swędów przypalonej pieczeni spekulantów politycznych. Głębokie i czyste źródła życia wyschły lub zamulone zostały iłem i gnojem brodzącego po nich bydła — niema skąd czerpać idealnych natchnień. Nie dziwno też, że rozjaśniamy sobie dusze cudzem światłem i ogrzewamy je w cudzym ogniu. Twórczość swojską zalewają fale przekładów. Tłumaczymy wszystko bez potrzeby, bez pożytku i wyboru. Po raz pierwszy w literaturze naszej, a może i powszechnej, podnieśliśmy tłumaczów do godności genjuszów a ich przekłady do godności arcydzieł. Rzeczywiście są to prace wykonane przez jednego z gruntownych znawców literatury francuskiej, z niepospolitą zdolnością i sumiennością, ale niektóre z nich spolszczone zostały jako niepotrzebny zbytek. Tak np. „Prowincjałki" Pascala są filozoficzną starzyzną, ciekawą w Polsce conajwyżej dla kilku amatorów rupieci myślowych, którzy zresztą mogą je poznać w oryginale. Słynne a dla barwności języka i literatury francuskiej bardzo ważne dzieło Rabelais'ego również w przekładzie niepotrzebne, zwłaszcza że prawie każda jego stronica albo razi wyuzdanym bezwstydem albo obrzydliwie śmierdzi. Ale są to przynajmniej utwory talentu. Tymczasem handle i fabryki przekładowe sprowadzają z zagranicy i przerabiają ogromne ładunki tandety, obliczonej na drażniące zaciekawienie niewybrednych czytelników. Dziesiątkami tysięcy jednego wydania wtłacza się ten lichy towar na rynek sprzedaży ulicznej i kolejowej, wypierając utwory wartościowe a przedewszystkiem oryginalne, o ile nie są naśladownictwem fabrykatów zagranicznych. Dzięki temu książka polska stała się artykułem przez spekulację handlową lekceważonym i jako niepoczytna drogim, stosunkowo najdroższym w świecie. Nie jest to wcale objaw powojenny, w Europie powszechny, lecz nasz miejscowy a wynika stąd, że pracujemy głównie nad wytworzeniem państwa a nie narodu. Naród jest ciągle w stanie wrzenia, zamętu i rozkładu, bez określonej istoty i postaci, rozbijany i zawichrzony przez naloty, żywioły obce' a nawet rozstrajany przez czynniki władcze. Literaturę, sztukę, kulturę może wytwarzać tylko organizm narodowy, mający swoistą naturę i własnę siłę życia, nie zdobędzie się na to bezkształtna mieszanina, bezładna gromada zamknięta w najmocniejszym bu-

dynku i utrzymana w karności przez najsurowszych pasterzów najostrzejszym batem. Przypatrzmy się uważnie naszym uchwałom sejmowym, ustawom, dekretom, rozporządzeniom, prawie wszystkie dotyczą potrzeb państwa, bardzo nieliczne potrzeb narodu, a wiele jest wprost dla niego szkodliwych. Z czego mają czerpać pobudki, siły, natchnienie umysły twórcze? Polska rozdyma się powietrzem, rozrasta się w bezpłodności, powiększa swoje ramy, w których rozpina się nagie płótno, staje się wielkiem naczyniem z zewnątrz ozdobionem i wewnątrz pustem. Nie potrzeba lupy, gołem okiem rozpatrzcie wszystkie nowe normy życia: dostrzeżecie w niem rozmaite pomysły urzędowego wyczerpywania sił narodu a nic albo bardzo mało starań dla ich wzmocnienia. Z czego ma się wytwarzać polskie bogactwo, polska nauka, sztuka, wogóle kultura? Z masy nędzarzów, głodomorów, żebraków, melancholików, chorych i zrozpaczonych?

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

GŁOSY

O POZIOM NAUKI W POLSCE

ZNAKOMITY uczony prof. Wacław Sierpiński ogłosił w X t. „Nauki Polskiej" (rocznik Kasy Mianowskiego) bardzo ważne wskazówki, co należy zrobić, aby podnieść w Polsce poziom pracy naukowej. Prof. Sierpiński jest przekonany, że dzisiaj wiele twórczych sił naukowych marnuje się wskutek wadliwej organizacji i że niewielkie zmiany ustroju mogłyby już temu zaradzić.

1. We Francji profesor uniwersytetu jest obowiązany do wykładania trzech godzin tygodniowo, w Paryżu nawet tylko dwóch. To też ma czas na pracę naukową. U nas profesorowie obowiązani są do wykładania co najmniej 5-iu godzin + 2 godziny ćwiczeń lub seminarjum (bynajmniej nie łatwiejsze niż wykład), zatem razem po 7 godzin tygodniowo, t. j. przeszło trzy razy tyle co w Paryżu! Jeżeli do tego dodać posiedzenia, komisje i egzaminowanie, to ileż czasu pozostaje profesorom na pracę naukową (poza przygotowaniem wykładów)?

7-mio godzinny przymus wykładania przyjęliśmy po smutnej pamięci Austrji. W dzisiejszych warunkach nie da się on niczem usprawiedliwić. Przestastarzałe są już pojęcia, że student ma tylko to umieć, co usłyszał na wykładzie. Wykład jest tylko pomocą w studjach, wskazówką, przykładem, jak należy traktować zagadnienia naukowe, ale uczyć się student powinien sam, prz pomocy odpowiednich podręczników. Tylko w czasach, gdy nie było wcale odpowiednich podręczników polskich, a młodzież nie znała języków obcych, można było wymagać od studenta tylko tego, co mu było wyłożone. Zresztą student nie może słuchać z korzyścią szeregu godzin wykładów dziennie.

Chcąc zwiększyć wydajność pracy naukowej profesorów, należy zmniejszyć liczbę obowiązujących godzin wykładowych do normy francuskiej, t. j. do 3-ch godzin tygodniowo z ćwiczeniami włącznie. Reforma ta żadnych kosztów nie wymaga, a korzyści przyniesie niewątpliwie duże.

2. Profesor nie pracujący naukowo, może czas wolny od wykładów poświęcić na napisanie podręcznika szkolnego, artykułu dziennikarskiego, albo na inne zajęcie, przynoszące dochód. Ten, kto pracuje naukowo, jest pozbawiony tych korzyści, gdyż praca naukowa nie jest wynagradzana. Należy stanowczo zaprzestać premjowania tych, którzy naukowo nie pracują. W tym celu należy:

a) wypłacać za prace naukowe honorarja autorskie;

b) stworzyć szereg nagród pieniężnych (nie w wysokości kilkuset złotych, jak dotychczas, ale po kilka tysięcy), które byłyby corocznie przyznawane za najlepsze prace naukowe z różnych dziedzin przez powołane do tego instytucje;

c) przyznawać wybitnym badaczom naukowym czasowe lub stałe zasiłki.

Perspektywa uzyskania takiego zasiłku byłaby dla wielu bodźcem do pracy naukowej, gdy obecnie bodźcem do zaniechania pracy naukowej jest np. perspektywa uzyskania honorarjum za napisanie podręcznika dla szkoły średniej. W innych krajach uczeni ubiegają się o godność członków Akademji: u nas godność ta w oczach społeczeństwa nie daje żadnych korzyści. Inaczej byłoby, gdyby do tej godności przywiązana była, choćby niewielka, stała pensja, jak to jest gdzieindziej.

Pracownik naukowy narażony jest na różne wydatki, których inni nie ponoszą. Wiele wydawnictw, zwłaszcza zagranicznych, każe płacić za odbitki autorskie. Rozsyłanie odbitek pociąga też znaczne koszty. Uczeni amerykańscy, niemieccy sporządzają po kilkaset odbitek swych prac i rozsyłają je na cały świat, reklamując się w ten sposób. Natomiast rzadko który polski uczony rozsyła choć kilkadziesiąt odbitek swych prac, bo już i ten wydatek czyni wyrwę w jego budżecie. To też często cały świat wie raczej o jakimś drobnym wyniku niemca, niż o większem odkryciu polaka.

3. Stosunki, w jakich znajdują się u nas docenci, są znacznie gorsze, niż były przed wojną w b. Galicji. Tam docent, będący nauczycielem szkoły średniej (a z takich przeważnie się rekrutują nasi docenci), otrzymywał znaczną zniżkę godzin w gimnazjum (30% lub więcej). U nas wyjątkowo przyznawane są docentom zniżki godzin w szkole średniej i to bardzo nieznaczne. Wykłady docentów, jeżeli nie są zlecone przez Wydział, nie są wcale opłacane (w b. Galicji otrzymywali oni przynajmniej czesne), a wynagrodzenie za wykłady zlecone jest prawie takie, jak za godziny lekcyj w gimnazjum, gdy tymczasem powinno być kilkakrotnie większe, bo przygotowanie wykładu uniwersyteckiego wymaga wielokrotnie więcej czasu, niż przygotowanie lekcji.

Przytem wynagrodzenie za wykłady zlecone powinnno być wypłacane przez 12 miesięcy, nie zaś przez 9, jak jest dotychczas. Czyż w czasach, kiedy wypłaca się specjalne zasiłki bezrobotnym, można zmuszać pracowników naukowych do głodowania w ciągu trzech miesięcy rocznie?

Trzeba mieć nadzieję, że mądre, a tak proste rady znakomitego uczonego będą poważnie uwzględnione w sferach, które o tych stosunkach decydują.

Z LITERATURY PANEGIRYCZNEJ

WŚRÓD bujnie krzewiącej się literatury panegirycznej broszurka prof. Grocha[1]) jest cenną perełką. Warto zwrócić na nią uwagę choćby z tego względu, że autor, nauczyciel seminarjum, wydał ją nakładem państwowego zakładu naukowego i zwraca się w niej do młodzieży. Ciekawe

[1]) Prof. B. Groch. Kim jest Józef Piłsudski? (W dziesiątą rocznicę niepodległości Polski.) Nakładem Państwowego Seminarjum Żeńskiego w Przemyślu, Przemyśl 1928. Stron 24.

są też koncepcje „profesora“ Grocha, odnoszące się do ustroju Polski.

„Polska poezja wieszcza dziwnie się spełnia i uzupełnia w życiu i czynach Marszałka Józefa Piłsudskiego“. Był on przeczuwany przez Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, Wyspiańskiego. „Wszyscy Polacy i inne narodowości w państwie mają obowiązek iść za nim, jako za wykonawcą proroczej a jednak realnej poezji wieszczej, która troszczy się nie o samych tylko Polaków, ale także i o inne narody, a szczególnie słowiańskie i im pokrewne. Przedewszystkiem winna go uznać za swego duchowego przewódcę i wzór starsza młodzież polska, dla której wyjaśniam zagadkowe „Widzenie ks. Piotra“ i w której sercu stawiam mu pomnik trwalszy i godniejszy od spiżowego“.

Autor wykazuje jak na dłoni, że wizja ks. Piotra odnosi się do Józefa Piłsudskiego. 44 to liczba monarchów, którzy władali Polską przed nim. On jest młodzieńcem wywiezionym na północ. „Obca matka“ to Litwa, która go się wypiera, jakkolwiek „krew jego“ po mieczu i po kądzieli to jej „dawne bohatery“. Uszedłszy przed zemstą Heroda, rządu rosyjskiego, do Galicji, „urósł na obrońcę i wskrzesiciela narodu“.

Tworząc Organizację Bojową, Związek Walki Czynnej, Strzelca, a w czasie wojny światowej Legjony i tajną Polską Organizację Wojskową, walcząc po stronie państw centralnych szedł za głosem „anioła pacholęcia“. „I usłuchał nasz wódz ślepo głosu Bożego i poszedł z garstką walczących, która zaważyła na wyrokach Bożych“.

„Bohater nasz — pisze p. Groch — i dziś jest narzędziem Opatrzności i jest Mężem strasznym, ma trzy oblicza i trzy czoła, reprezentujące za jego właściwego i duchowego panowania Polskę na wewnątrz i zewnątrz w osobie trzech Prezydentów Państwa, obranych za cichą lub jawną jego zgodą i wolą. Zdaje on sobie dobrze sprawę, że w najpiękniejszym miesiącu 1926 roku był strasznym Mężem, bijącym strasznym batem tych, którzy zawinili wobec ojczyzny, którzy legalnie ją obdzierali. W mowie zaś kaliskiej, mówiąc o obcych agenturach, wyjaśnia, dlaczego „jak baldachim rozpięta księga tajemnicza nad jego głową osłania lice“, *dlaczego wyraźnie nieokazuje trzech oblicz politycznych; polskiego, ukraińskiego i litewskiego* (podkr. sprawozdawcy) dlaczego nie głosi, że „podnóżem jego są trzy stolice“.

„Obecnie budowniczy ten jest już „nad ludy i króle podniesiony“, bo ma większą władzę niż prezydenci i królowie państw, i na trzech stoi koronach, strąconych z głowy trzech cesarzy i *dąży do trzech koron: Polski, Rusi i Litwy*, chociaż „sam bez korony“, której nie przyjmuje jako pomny losu Cezara i Napoleona“.

„Po materjalnem wzmocnieniu państwa Marszałek Polski stara się, aby „od stóp jego wionęła biała jak śnieg szata“ ustroju państwowego i aby na tej szacie błyszczały „jego trzy źrenice“: równość, wolność, braterstwo ludzi, zawodów i narodów, jako trzy słońca, świecące na sieroty i wdowy, ubogich i bogatych“.

Tu prof. Groch skromnie podsuwa Marszałkowi swój projekt ustroju państwa. „Ten ustrój trzeba jaknajprędzej opracować i wprowadzić w życie, które różni się wielce od poezji i marzeń naszych. Kroczy ono bowiem po grudach i wybojach, a nawet manowcach i stwierdza słowa wieszcza „o n ś l e p y“ (!), t. j. twórca Polski nie widzi wielu złych spraw tak zewnątrz jak i wewnątrz państwa. Lecz nie lękajmy się, albowiem go wiedzie „anioł-pacholę“—no i profesor Groch, który stworzył projekt ustroju państwa. P. Groch przyjmuje system dwuizbowy (Sejm i Straża) — nozatem dodał jeszcze tajną Radę „44“ doświadczonych mężów przy Naczelniku Państwa, posiadającym władzę monarszą.

„Naczelnikiem Państwa może być tylko znany ze sumienności, doświadczenia i zasług mąż, a wybierają go z pomiędzy 4-ch kandydatów, narodowości: polskiej, ruskiej, białoruskiej i litewskiej, prawyborcy w liczbie 400“.

Nie chcemy nadużywać prawa przedruku i cierpliwości czytelników. Autor wyznaje, że napisał już kilka takich broszur i napisze jeszcze więcej w miarę postępów realizacji proroctw. „Na całość — powiada— należy czekać conajmniej kilkanaście lat, których potrzebuje Marszałek Piłsudski do dokonania swej myśli Opatrznościowej“. Mamy więc czas. Bardziej aktualną broszura prof. Grocha jest dla młodzieży seminaryjnej w Przemyślu, bo niewątpliwie musi tam ona być lekturą obowiązkową.

Dodać należy, że prof. Groch zupełnie oryginalny nie jest. W r. 1921 wyszła w Lublinie broszura St. Pełczyńskiego p. t. „List otwarty do Naczelnika Państwa Józefa Piłsudskiego“, która rozwija w ten sam sposób proroctwa ks. Piotra. A zaczyna się od Księgi Rodzaju Jezusa Chrystusa z Ewangelji św. Mateusza. Autor ponumerował pokolenia od Abrahama i wypadł mu na 44 miejscu Józef, który był mężem Marji matki Chrystusa. To dało nawet pochop autorowi do ostrej za św. Mateuszem polemiki, który naliczył tylko 42 pokolenia.

Z przykładów tych można sobie urobić pojęcie, do jak świetnego rozwoju doprowadziła myśl polityczną literatura legjonowa. Tylko ci, którzy nie obejmują całości ruchu umysłowego i moralnego w okresie sanacji, domagać się mogą programów urzędowych. Program jest gotowy, trzeba tylko nie lenić się i czytać odpowiednią literaturę. Prof. Groch pisze wyraźnie (s. 21):

„Wszyscy Polacy obowiązani są zrozumieć, że tylko ten, który Polskę zbudował i który ją obecnie wzmacnia, jest w możności bronić jej przed nawałą nieprzyjaciół wewnętrznych i zewnętrznych i że on także może ją łatwiej rozszerzyć w imię 40 i 4 monarchów polskich (prof. Groch obliczył, że tylu ich było już przedtem) i w imię wolności narodów, mogących się rozwijać swobodnie i zgodnie po upadku trzech cesarstw, produktu i idei 44 roku przed Chr. Powyższą liczbę królów polskich, która jest zarazem datą śmierci Cezara, z naciskiem podkreślam, albowiem w niej mieści się realny sens zagadnienia“.

To jasne! Teraz już każdy wie, co myśleć i robić.

POGŁOSKI

Raz po raz czytać można w dziennikach o „zmianie gabinetu“, lub przynajmniej o „zmianach w gabinecie“. Raz po raz pojawiają się pogłoski, że ktoś ma ustąpić, ktoś inny „ma objąć tekę“, ktoś „utracił zaufanie“, ktoś jest „mężem przyszłości“... Niekiedy urzędowa Polska Agencja Telegraficzna ogłasza oficjalne zaprzeczenia, ale wnet potem wiadomości o spodziewanych zmianach w rządzie szerzone są przez najbardziej do rządu zbliżone organy prasowe. Jakże zresztą nie dawać wiary, jeżeli ktoś „blisko stojący“ szepce z miną tajemniczą „informacje z najlepszego źródła“: czyliż co kilka miesięcy nie powtarzają się nieoczekiwane całkiem „rekonstrukcje rządu“ albo dymisje ministrów, znakomicie „pod względem technicznym“ przeprowadzane?

Nastroje niepewności, nieobliczalności, tajemniczości, podsyca przeświadczenie, że dokonywające się zmiany w rządzie nie są bynajmniej odbiciem czy też wynikiem przemian, jakie zachodzą wewnątrz społeczeństwa. Obywatel „demokratycznej Rzeczypospolitej“ czyta informacje dziennikarskie o „rekonstrukcjach gabinetu“ jak „biuletyn meteorologiczny“, jakgdyby wiadomości o rzeczach, będących całkowicie poza nim, poza kręgiem jego odpowiedzialności i wpływu. W „przedmajowej“ przeszłości, kiedy losy gabinetów ministerjalnych rozstrzygane były na „konwentyklach“ przywódców klubów sejmowych, wiedział on przynajmniej i rozumiał, dlaczego pewne osoby mają głos decydujący w na-

radach i jakie każda z nich reprezentuje interesy i dążenia. Dzisiaj dawne „konferencje kuluarowe" zastąpione zostały przez organizację o wiele... poufniejszą...

Wydaje się prawdą zgoła bezsporną, że szczególnie niebezpieczną wadą parlamentarnego systemu rządów jest nietyle nawet ich słabość, ile n i e t r w a ł o ś ć. Jedynie rząd trwały, nie odmieniający co kilka miesięcy swego składu, może prowadzić konsekwentną, pozbawioną wahań i nawrotów politykę, tylko rząd trwały może mieć na daleką metę zakreślony plan działania i może go wykonywać. I doprawdy trudno znaleźć odpowiedź na pytanie, czemu w okresie „pomajowym", kiedy losy tek ministerjalnych przestały zależeć od międzypartyjnych kompromisów na terenie sejmowym, czterokrotnie już następowały zmiany gabinetu? Czemu w dziale zarządu Państwem, który szczególnie wymaga konsekwencji i ciągłości kierownictwa, mianowicie w ministerstwie oświaty, w ciągu dwóch lat zmieniło się pięciu ministrów? „Czy instrument niestrojny? Czy się muzyk myli?"

„Wogóle wszystko, co jest doskonałe... jest tem, co najmniej podlega przemianom"—zauważa Sokrates w „Rzeczypospolitej" Platona. Oczywiście, p. Stpiczyński nie jest Sokratesem i nie posiada jego zamiłowania do logiki, ale pomimo wszystko czasami... trochę kłopotliwe być musi głoszenie, iż rząd obecny jest szczytem doskonałości, a jednocześnie podawanie w optymistycznym tonie doniesień o mających nastąpić — zmianach.

R.

CZTERDZIESTOLECIE BULANŻYZMU

FRANCJA przechodzi okres poważnego fermentu wewnętrznego. Ludzie, którzy widzieli Paryż w przededniu upadku rządu Herriota w r. 1926, świadczą zgodnie, że czuć było wówczas powiew rewolucji. Objęcie władzy przez Poincarégo uspokoiło umysły i wzbudziło zaufanie w społeczeństwie. Lecz dziś gwiazda Poincarégo chyli się ku zachodowi, a niezadowolenia w kraju nagromadziło się już wiele. Kto zna Francję, ten wie, że wielkie poruszenie w opinji francuskiej wywołują takie sprawy jak afera „*Gazette du Franc*", która, jak donoszą dzienniki, coraz szersze zatacza kręgi i nabiera znaczenia przez to, że w gronie skompromitowanych są nietylko aferzyści, lecz dziennikarze i politycy. Dyskusja zaś, jaka się odbyła przy okazji uchwał Izby i Senatu, podnoszących wynagrodzenie posłów i senatorów, dowodzi, że istnieje szeroko rozpowszechnione niezadowolenie nietylko z tego czy innego rządu, lub z tego czy innego ministra, lecz — i to może przedewszystkiem — z całego obecnego systemu rządzenia. W opinji zaczyna się chwiać pozycja parlamentarnego systemu rządów.

Nawet z czytania pism odnosi się wrażenie, że w atmosferze gromadzą się czynniki zapowiadające burzę. Rozmyślanie nad położeniem obecnem prowadzi ku wspomnieniom z przed 40 lat. Styczeń roku 1889 był miesiącem największej popularności gen. Boulanger'a, w dniu 27 tego miesiąca był on wybrany na posła w Paryżu. Dziś nazwisko to mówi bardzo niewiele, a jednak przed czterdziestu laty był gen. Boulanger najpopularniejszym człowiekiem we Francji, miał możność zostania dyktatorem. Gorączka niezadowolenia ogarnęła wówczas Francję, wzmogły ją obawy przed nowym najazdem niemieckim. Szukano winowajców różnych niedomagań i zaczęto ich upatrywać w parlamencie i w instytucji parlamentaryzmu. Nie było jednak ani stronnictwa ani polityków, którzyby sformułowali program lub zamierzali organizować ruch opozycyjny. Nieokreślone pragnienia, nieskrystalizowane niezadowolenie, oburzenie na przejawiające się w życiu publicznem zło — wszystko to skupiło się koło osoby popularnego generała, który pociągał tłumy swą żołnierską postawą.

Program i organizację zastąpiło hasło „Niech żyje gen. Boulanger!" Nastroje ludności Paryża odzwierciadla najlepiej piosenka, która zrodziła się na ulicy, gdy generał z rozporządzenia władzy opuszczał stolicę, by objąć komendę korpusu na prowincji:

Il reviendra quand le tambour battra,
Quand l'étranger m' naç'ra, notre frontière,
Il sera là et chacun le suivra;
Pour cortége il aura la Franc'entière!

Między generałem, a obrońcami *régime*'u zawiązała się krótka i zwycięska dla parlamentaryzmu walka. Boulanger, mimo, że miał za sobą opinję kraju, i, co we Francji jest najważniejsze, opinję ludności Paryża, pregrał. Gdy rząd zamierzał go aresztować, wyjechał do Belgji.

Gdy dziś z oddalenia patrzymy na te wypadki, gdy przerzucamy karty, na których opisali swe wspomnienia zwolennicy bulanżyzmu, jesteśmy z jednej strony uderzeni siłą ruchu, wysokiem napięciem uczuć i dowodami ofiarności i determinacji przedstawicieli tego paroksyzmu gorączki politycznej; z drugiej zaś strony nasuwa się nam z całą natarczywością pytanie — dlaczego ruch ten nie wydał żadnych rezultatów i równie szybko wygasł jak zapłonął?

Dlatego — odpowiemy — że człowiek, którego nazwisko stało się hasłem skupiającem niezadowolonych, sam nie wiedział, czego ma chcieć i jakiemi ma iść drogami, a otaczający go doradcy polityczni, ulegając nałogom i nie wybiegając myślą ponad przeciętność, pchnęli go na tory walki wyborczej i parlamentarnej. To zaś ani nie odpowiadało instynktom i mglistym dążeniom tych, którzy go zrobili swym wodzem, ani też właściwościom umysłu i charakteru generała. Byłby może mógł na czele wojska zdobyć władzę, zaplątał się i padł w pajęczynie intryg parlamentarnych i politycznych. „*Le general Boulanger manque d'une foi boulangiste qui se substitue dans sa conscience á l'évangile dont vit le parlamentarisme*" — powiada Maurycy Barrés w „*L'appel au soldat*". Przemówił w r. 1889 instynkt narodowy Francji, lecz nie znalazł w osobie gen. Boulanger'a mózgu, któryby wskazał drogi i naród po nich poprowadził. Buchnął tedy entuzjazm jasnym i wielkim płomieniem, lecz szybko się wypalił i zgasł. Nie było ani w głowie gen. Boulangera, ani w głowach jego najbliższego otoczenia myśli politycznej i jasnego poglądu na to, dokąd i jakiemi drogami iść należy.

W ciągu lat czterdziestu, jakie ubiegły od owej gorączki bulanżystowskiej, wiele się we Francji zmieniło. Społeczeństwo przeszło wiele doświadczeń wewnętrznych i przeżyło wielką katastrofę, czteroletnią wojnę z Niemcami. Zarówno ustrój polityczny kraju, jak i obyczaje polityczne ulegały i ulegają surowej i wszechstronnej krytyce. Powtórzenie się bulanżyzmu jest niemożliwe. Gdyby dziś zjawił się człowiek, mający taką popularność jak niegdyś gen. Boulanger, to znalazłby już nietylko kadry zwolenników w szerokich masach, lecz gotową doktrynę polityczną i szczegółowe wskazania programowe.

Czy należy przewidywać jakieś głębsze przeobrażenia wewnętrzne we Francji? Trudno dać na to pytanie stanowczą odpowiedź. Lecz dla pokolenia, które patrzyło na to, jak waliły się trony trzech cesarzy, które widziało rewolucyjne zmiany w ustroju i życiu społecznem szeregu państw, myśl o możliwości przeobrażeń w kraju, który w ciągu wieku XIX pięciokrotnie zmieniał formę rządów, nie może się wydawać nieprawdopodobną.

Trzeba stwierdzić, że w opinji francuskiej panuje dziś wiara w długotrwały pokój, oparta na zaufaniu do paktów i Ligi Narodów oraz na przeświadczeniu, że w Niemczech tylko mniejszość militarystyczna i reakcyjna mówi i pisze o wojnie odwetowej. Politycy francuscy przeważnie nie widzą zbliżających się wypadków. Lecz we Francji są tacy, którzy wiedzą, widzą i przewidują — wojskowi. Jest starym obyczajem, że wojskowi francuscy nie wtrącają się do polityki. Co wszakże będzie, gdy ci, którzy jasno widzą niebezpieczeństwo i wiedzą jak mu zapobiec, przekonają się, że kierownicy polityczni narodu po raz trzeci w ciągu lat sześćdziesięciu chcą go postawić wobec nieprzyjaciela z odsłoniętą piersią, iż zamykają oczy na doświadczenia lat 1870 i 1914? Odpowiedź na to pytanie pozostawiamy przyszłości. S. K.

WYCHOWANIE NARODOWE

O ZJEDNOCZENIE ZWIĄZKÓW ZAWODOWYCH

ZAWODOWE Zrzeszenie Nauczycielstwa Szkół Powszechnych Rzeczypospolitej Polskiej jest organizacją niedawno utworzoną. Organizacja ta, o charakterze zawodowo-materjalnym, z siedzibą Zarządu Głównego w Warszawie przy ul. Orlej, skupia nauczycieli żydów, pracujących przeważnie w miasteczkach i miastach i ma w tych miejscowościach swoje Oddziały prowincjonalne.

Widocznie jednak dotychczasowy zakres swego działania Zaw. Zrzesz. uważa dla siebie za niewystarczający, gdyż postanowiło wszcząć akcję o szerokich zamiarach, niesłychanie doniosłą w następstwa — nie tyle natury zawodowo-materjalnej ile raczej znaczenia ideowego.

Oto Zawodowe Zrzeszenie, nie mające w swej firmie żadnej wyraźnej wzmianki, kto wchodzi w skład członków, rozesłało do wszystkich organizacyj nauczycielskich w Polsce zaproszenie do wydelegowania swoich przedstawicieli na wspólną konferencję na dzień 6 stycznia b. r. w lokalu Związku Zawodowego Naucz. Żyd. Szk. Średniej w Polsce w Warszawie.

Jako cel konferencji przedstawicieli wszystkich związków nauczycielskich w Polsce podało Zawodowe Zrzeszenie omówienie możliwości zjednoczenia ruchu zawodowego nauczycielstwa szkół średnich i powszechnych, tak państwowych jak i prywatnych przez stworzenie jednolitego Związku nauczycieli, ewentualnie przez powołanie do życia centrali porozumiewawczej już istniejących związków.

Z pism codziennych dowiadujemy się, że na konferencję wysłały swoich przedstawicieli następujące organizacje: *Landesverband Deutscher Lehrer*, Towarzystwo Nauczycieli Szkół Średnich i Wyższych, Związek Zawodowy Nauczycieli Żydów, Związek Zawodowy Nauczycieli Żydowskich szkół średnich, Związek Naucz. Szkół „*Tarbut*“ i Związek Nauczycielstwa Szkół Powszechnych.

Nie wzięli udziału w konferencji: Związek Zawodowy Naucz. Polskich Szkół Średn., Stowarzyszenie Chrześcijańsko-Narodowego Nauczycielstwa Szkół Powszechnych i Ukraiński Związek Nauczycielski „Wzaimna Pomocz“, usprawiedliwiając swą nieobecność.

Na konferencji uzgodniono tylko cel drugi t. j. uchwalono powołać centralną komisję porozumiewawczą i w tym celu wybrano komisję organizacyjną dla opracowania programu działania i regulaminu. W skład komisji weszli przedstawiciele wszystkich obecnych na konferencji organizacyj.

Osiągnięto atoli i cel pierwszy, bo doszło do porozumienia między *Landesverband Deutscher Lehrer*, Związ. Zawod. Naucz. Żydowskich Szk. Średnich i Zawodowem Zrzeszeniem Naucz. Szkół Pow. Rzeczypospolitej Polskiej w sprawie połączenia tych organizacyj w jeden związek na zasadach klasowych.

Dla orjentujących się w życiu zawodowych organizacyj nauczycielskich ten ostatni wynik konferencji jest dość charakterystyczny i powinien być wskazówką, kto z kim, gdzie i kiedy może i powinien się łączyć w sprawie zjednoczenia ruchu zawodowego i stworzenia jednolitego związku nauczycieli szkół średnich i powszechnych.

Zwłaszcza, skoro — jak zaznaczył p. minister Świtalski w przemówieniu na zjeździe nauczycieli szkół powszechnych — zawodowe organizacje nauczycielskie z natury rzeczy posiadają też oblicze i zadania... ideowe.

(—)

NAUKA I LITERATURA

Z ŻYCIA NAUKOWEGO

Prof. Bolesław Gawecki zapowiedział i już wykonywa cykl odczytów z dziedziny filozofji w Tow. im. Mickiewicza gimn. Reytana (Książęca 4). Odczyty następują raz na miesiąc w drugą niedzielę każdego miesiąca (godz. 11 — 1 rano). Wygłosił już trzy: O możliwości filozofji narodowej, O dwu typach polskiego mesjanizmu, Mesjanizm W. Lutosławskiego. Zapowiedziane są: Cechy zasadnicze filozofji polskiej, Główne zasady systematu Hoene-Wrońskiego, Mistycyzm w filozofji polskiej, Filozofja Słowackiego, Historjozofja Cieszkowskiego, Metafizyka polska a nauka współczesna, Etyka chrześcijańska a polskość, wreszcie dwa odczyty: Zarys nowego systemu filozofji narodowej polskiej. (wstęp 50 gr.)

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

W „Przeglądzie Filozoficznym“ (zesz. 3, rocz. 1928) ukazały się rozprawy: H. Elzenberga „O funkcji poznawczej wysławiania się obrazowego“, S. Hessena „O fizyce Galileusza w stosunku do Arystotelesa“, St. Leśniewskiego „O podstawach matematyki“, B. Dańca „Sokrates w świetle starożytności a nauki nowożytnej“.

W „Ruchu Literackim“ (grudzień 1928): T. Makowieckiego „Rząd dusz w Lelewelu Wyspiańskiego“, F. Araszkiewicza „Z lat szkolnych Bolesława Prusa“, P. Grebiennikowa „Anhellia Widzenie ks. Piotra“. W materjałach interesująca relacja zanotowanych od Ujejskiego wspomnień o Słowackim.

W „Zapiskach Tow. Naukowego w Toruniu“ (nr. 11 za kw. III 1928): Materjały do życia J. Wybickiego, ks. Bleszka „O zabiegach W. Mistrza Küchmajstera z r. 1421 o uniezależnienie archidjakonatu pomorskiego od diec. włocławskiej“ ks. Mańkowskiego „O projekcie kolegium szkolnego dla diec, Chełmińskiej z r. 1816“.

W „Przeglądzie Współczesnym“ (styczeń) na uwagę zasługują: artykuł H. Schwanna o młodzieży niemieckiej, St. Wyrobisza „Etatyzm czy liberalizm“? A. Januszowskiego „Polityka W. Brytanji“, Feldmana „Mocarstwa wobec powstania styczniowego“ i w. in. — oraz dział sprawozdań.

W „Przeglądzie Powszechnym“ (styczeń): Cz. Falkowskiego „Luter w świetle nowych badań“, T. Stryjeńskiego „Polacy we Fryburgu“, M. Gumowskiego „Architektura i styl przedromański w Polsce“.

W „Ateneum Kapłańskiem“ (Włocławek, grudzień 1928): Fel. Konecznego „Kościół w Polsce wobec cywilizacji“.

W „Sprawach Narodowościowych“ (listopad 1928): „Mniejszości językowe w Prusach w świetle spisu 1925 r.“

*

O książce J. E. Skiwskiego „Poza wieszczbiarstwem i pedanterją“ ogłosił Stan. Szpotański szereg uwag w „Kurjerze Warszawskim“ (nr. 13 z 13 stycznia), określając ją jako „nadzwyczaj interesującą i doskonale napisaną“. „Książką swoją — pisze Szpotański,—zupełnie niepospolitą, podejmuje Skiw-

ski problem zbudowania mocnego kręgosłupa dla wiotkiej duszy polskiej... Umysł bardzo śmiały, w logice swojej krańcowy, wybijający się z pewnością na czoło naszych krytyków, jest w jednej z pierwszych faz swego rozwoju. Oczekiwać od niego trzeba dużo"...

*

„Czarodziejskie Zwierciadełka" Kazimiery Iłłakowiczówny, wydane teraz przez księgarnię Św. Wojciecha w Poznaniu, stanowią drugą serję „Obrazów imion wróżebnych" wydanych w r. 1926. W każdym z tych zbiorów mamy po 50 imion. Jest coś fenomenalnego w wyobraźni poetyckiej autorki, że może wysnuć z siebie tak wielką galerję typów. Wszystko to było gdzieś spostrzeżone i zostało w pamięci w jakimś głównym zarysie, resztę uzupełnia wyobraźnia przez skojarzenie. Nie są to wróżby, lecz przeżycia, świadczące o niesłychanej spotrzegawczości autorki i jej pamiętliwości. Cały rój ludzki zalega gdzieś w podziemiach podoświadomości i na zawołanie wypełza, organizując się w indywidualności według imion. Są to ci ludzie, od których naogół poetka ucieka, chroniąc się w samotności. Od czasu do czasu wyprawia im rauty, jak rewje. Niema tam nic kalendarza — szkice portretowe wielkiej wartości artystycznej. Wspaniały zaś na końcu epilog, w którym poetka tłumaczy się z tego roju dokoła głowy. Wypuściła go, aby trudniej było odgadnąć, który z nich leży na dnie jej serca i jego teraz jest tajemnicą. Twarda jest jak kaźń, gdzie na torturach wydzierają sercu tajemnicę. Niechże teraz zgadną, w którem imieniu jest tajemnica jej serca.

Gest iście poetycki.

*

Zasługuje na uwagę rozprawa p. Emila Rueckera p. t. „Niemcy Prusy, a Polska" (Nakład Krakowskiej Spółki Wydawniczej). Jej rozdział środkowy przynosi cenne referencje o przygotowaniach Niemiec do przyszłej wojny, Rozdziały pierwszy i trzeci poświęcone są zagadnieniom stosunku Prus do Niemiec, co wiąże się ściśle z zagadnieniami przyszłego rozwoju polityki niemieckiej. Nie na wszystkie wnioski autora można się zgodzić, tezy jego są jednak interesujące, a dotyczą spraw dla polityki polskiej wielce ważnych, więc jest rzeczą pożądaną, by omawiana broszura znalazła jaknajliczniejszych czytelników.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Ukazał się w ostatnich czasach szereg powieści i prac historycznych, poświęconych Napoleonowi I, III i IV oraz niedawno zmarłej cesarzowej Eugenji. Epizody z życia Bonapartych przedstawiane są obecnie na 2 scenach paryskich. Ale podczas kiedy w sztuce p. Maurycego Rostand'a młody książę cesarski występuje jako „pacyfista" i wygłasza tyrady przeciwko masakrowaniu ludów, bohater książki p. Armand Praviel p. t. „*La fin tragique du Prince Impérial*" (Firmin Didot édit.) jest wręcz inna postacią. Autor rozpoczyna swój utwór od chrztu ostatniego Napoleona w katedrze Notre-Dame. Wtajemnicza on nas następnie w cały szereg epizodów tego krótkiego, a dramatycznego życia. P. Praviel cytuje też całą kartę, wyrwaną z albumu pewnej *lady*, gdzie książę cesarski oświadcza, iż największą cnotą jest dla niego odwaga, dominującą ideą — patrjotyzm, ulubionymi bohaterami historycznymi — Napoleon i Cezar. W imię też tych zasad, a nie mogąc być „chociażby prostym żołnierzem we Francji" ostatni z Napoleonów poszedł zginąć tragicznie na afrykańskiej ziemi. Na tej dramatycznej scenie kończy się też bardzo interesująca książka p. Praviel'a.

*

P. Henri Pérochon, autor „*Nène*" wydaje obecnie „*Le Livre des quatre saisons*" (Delagrave). Jest to szereg opowieści o duszy dziecięcej, pełnych świeżości, a opartych na głębokiej znajomości tego specjalnego światka maleństw, żądnych zawsze nadzwyczajnych zdarzeń i opowieści.

*

„*Noël en Provence*" (édit. Occitania) zainteresuje tych wszystkich czytelników, którzy są miłośnikami folkloru i lokalnych zwyczajów różnych prowincyj. Autorowie tej ciekawej książki pp. Arnaud d'Agnel i Léopold Dor w sposób bardzo obrazowy przedstawiają cykl tradycyjnych zwyczajów, które po dziś dzień utrzymały się jeszcze w Prowancji i ściśle są przestrzegane przez jej mieszkańców.

*

P. Jean Giraudoux pracuje nad nowym utworem, który ukaże się niebawem w „*Nouvelle Revue Française*", a będzie nosił tytuł „*Bellita*".

*

„*Cola o rittratio dell'Italiano*" jest tytułem, który znany i ceniony pisarz Mario Puccini nadał swej powieści-studjum z życia prostego żołnierza na wojnie.

Puccini jest dobrym psychologiem i artystą w kreśleniu różnych typów, które podpatruje umiejętnie i odtwarza plastycznie. W tej powieści przeprowadza on swego bohatera przez wszystkie etapy życia żołnierskiego, od rewizji lekarskiej do powrotu do domu, jako inwalidy pozbawionego prawej ręki. Autor znakomicie posługuje się gwarą chłopską, by odmalować subtelne poruszenia duszy wieśniaka, jego poglądy, sąd o ludziach i rzeczach.

SZTUKI PLASTYCZNE

W „ZACHĘCIE"

Nowa wystawa w warszawskiej „Zachęcie" nie zgromadziła dzieł malarskich wielkiej miary. Duża kolekcja prac Edwarda Okonia zapoznaje z artystą, nie pozbawionym znacznego nawet talentu, z pewnością jednakże pozbawionym głębszej kultury i smaku. Tchnie z niej powiewem wczorajszej zaledwie, ale jakże odległej już dziś od nas epoki „secesji", staroświecczyzną, pozbawioną wszakże wszelkiego uroku dawności. Najmocniejszy jako pejzażysta, najsłabszym natomiast okazuje się Okoń w swoich mózgowych, z widocznym wysiłkiem wykombinowanych „fantazjach". Najwymowniejszym przykładem złego smaku i bezradności wyobraźni jest chyba obrazek, realistycznie przedstawiający śmierć Chrystusa na krzyżu, nie na Golgocie atoli, ale — nie wiadomo dlaczego — na rynku Staromiejskim w Warszawie, w pobliżu kamienicy Baryczków. Z przebitego boku Ukrzyżowanego, zamiast Krwi Świętej, wyskakują bez przerwy wielkie, sztywne, mięsiste, czerwone róże. Utworzyły już sporą kupkę na bruku, a wylatują i wylatują... Bezceremonjalność, z jaką autor gotów jest zabierać się do tematów najświętszych, najprzykrzejsze sprawia wrażenie.

Stanisław Żukowski, jak zawsze, powierzchowny nieco, trochę brutalny, można rzec: demagogiczny chwilami w wydobywaniu efektów światłocienia, wystawił szereg wnętrz i krajobrazów, malowanych z umiejętnością i werwą. Wycieczka w dziedzinę malarstwa portretowego nie dodała nowych wartości do jego artystycznego dorobku.

Poznańczyk Adam Hannytkiewicz probuje sił w rozmaitych rodzajach malarstwa — z rozmaitym skutkiem. W jego malowidłach historycznych widoczny jest brak pogłębienia i to w znaczeniu podwójnem: zarówno, jeżeli chodzi o głębsze przeżycie przedstawianej chwili dziejowej, jak i w znaczeniu... braków perspektywy malarskiej. Zato jako portrecista prezentuje się Hannytkiewicz bardzo poważnie: obrazy takie, jak „Znawca" albo „Portret pana P.", należą bezwątpienia do najcelniejszych dzieł na obecnej wystawie „Zachęty".

Lwowianin Józef Pieniążek maluje architekturę sumiennie, w akwafortach zaś potrafi niekiedy pokazać piękno swego rodzinnego miasta w sposób interesujący i świeży. Tadeusz Nartowski w swym rozwoju artystycznym postępuje niewątpliwie naprzód, jak stwierdzają przedewszystkiem nowe jego krajobrazy tatrzańskie. Ogólny poziom t. zw. „wystawy ogólnej" — niewysoki. K. L.

*

Ostatni zeszyt miesięcznika „Sztuki Piękne" przynosi znakomity artykuł prof. J. St. Bystronia p. t. „Polskie drzeworyty ludowe". Zadziwiające, nieoczekiwane zupełnie jest piękno tych pełnych prostoty przejawów ducha religijnego i artystecznego polskiego ludu. Słusznie też pisze prof. Bystroń, iż „te zapomniane drzeworyty są dla nas czemś bliskiem i żywem, nie są one tylko objektem dla muzeów etnograficznych, jako zabytek przeszłych czasów, lecz pozostają czemś zawsze trwałem i ważnem jak każda prawdziwa i szczera sztuka". Dwadzieścia sześć reprodukcyj dzieł drzeworytnictwa ludowego, wśród nich jedna bardzo starannie wykonana odbitka barwna, doskonale ilustrują rozprawę uczonego etnologa.

Całość zeszytu uzupełnia bogata „Kronika artystyczna", oraz spis rzeczy za rocznik czwarty. Spis ten — to świadectwo wielkiej pracy i zasługi „Sztuk Pięknych" około obrony i szerzenia kultury artystycznej w Polsce.

OFENSYWA

NOWY BRANDES

MECENAS Napoleon Hirszband, znany w literaturze pod pseudonimem Cezary (Baryka?) Jellenta jest w pewnej mierze postacią tragiczną. Pisał bowiem i pisał, a z tego nic nigdy nie wychodziło. Był apostołem Piękna, a Piękno do niego stale: tyłem. Zwalczał całe lata „Chimerę", a Chimera do niego ani razu. Pisał powieści: nie czytali. Dramaty? Nie grali i też nie czytali. Kolejno zakładał moc pism: nie szły. Ostatnio: „Biały Paw". Nikt nie chciał słyszeć o żadnym Pawiu. Dość że był przez koniec wieku XIX i ćwierć XX-tego co się zowie zapoznany, poniechany, zagubiony.

Odnalazł się ostatnio jako apostoł dyktatury. W tym charakterze zaangażowany przez M. S. Z. jeździ po Europie i miewa konferencje propagandowe... w Paryżu... w Brukseli... w Wiedniu... ostatnio w Holandji... Wynajmują mu małe salki, spędza się polską kolonję, trochę gości tubylców, reporterów i Cezary Jellenta ma *conférence*. Polacy klaskają, potem jest kolacja, toaścik jeden i drugi, a dzielny Cezary wysyła z hotelu dłuższą o tem relację do urzędowego organu. Superlatywów bywa moc, „sukces niebywały", konie odprzęgają.

Niedawno bawił w Rotterdamie i Amsterdamie. I tam miał *conférence* nibyto o Polsce a jednak nie o Polsce. Relację zdawał z tego dziennik „*Maasbode*" a tłumaczenie Cezaryczne znalazło się w „Epoce". I oto czego się dowiadujemy z „*Maasbode*" która musi być holenderskiem wydaniem „Hacefiry" czy też „Momentu":

> „Z prac literackich Cezarego Jellenty, z jego krytyk, poezyj, powieści i utworów dramatycznych, które tworzą razem poważny dorobek literacki, przemawia bystry umysł analityczny i możnaby mu w związku z tem dać miano polskiego Brandesa".

Polski Brandes. Było już takich kilku. Ten przedostatni.

> „W ostatnich zwłaszcza czasach Cezary Jellenta dał się poznać jako świetny mówca. W Wiedniu, Paryżu, Marsylji, Brukseli, Antwerpji i w szeregu innych miast wykłady jego cieszyły się dużem zainteresowaniem. Jego działalności należy niezawodnie przypisać, że tu i tam na zachodzie Europy obudziło się nowe zainteresowanie dla literatury polskiej".

Jego działalności! Czy M. S. Z. słyszy? Czyjej działalności?

Poczem jest nowy wykład nowego Brandesa o polskiej literaturze:

> „Marszałka Piłsudskiego — zaczął mówca — można nazwać największą i najsilniejszą osobistością, jaką Polska dzisiejsza posiada. Na zachodzie Europy Piłsudski jest znany tylko jako polityk, wódz, który talent i siły swoje poświęcił dla oswobodzenia Polski, jednakże jego wszechstronnej osobistości stałaby się krzywda, gdyby go oceniano jedynie z powyższego punktu widzenia. Dla wyrobienia sobie o nim prawdziwego sądu koniecznem jest poznanie jego wielostronnej pracy pisarskiej...
>
> W mowach swoich Piłsudski daje wszelką swobodę swojej bogatej wyobraźni. Bez ogródek mówi o wszystkiem, co mu cięży na sercu, a czyni to z rozmachem iście napoleońskim.
>
> Mowy Marszałka odznaczają się wielką żywością i otwartością, która porywa swą bezpośredniością. Pełne są metafor poetyckich i wyrazistych obrazów, wziętych bezpośrednio z życia codziennego. Jest w nich nawet czasami coś, co sprzężystością swą przypomina Rabelais'ego. Dziełami Piłsudskiego nie są ani wiersze, ani sztuki dramatyczne, tworzeniem których zabawiają się niekiedy wielcy mężowie stanu, lecz uważać je trzeba jako pewnego rodzaju promienie Roentgena, które umożliwiają nam wniknięcie w jego głęboką, a skomplikowaną duszę".

Tak mówił Jellenta. Tak pisało „*Maasbode*". I taka relacja tłumaczona poszła do „Epoki".

Rabeleis, Napoleon, Roentgen.

Jego to pana Jellenty „działalności należy niezawodnie przypisać, że tu i tam na zachodzie Europy obudziło się nowe zainteresowanie dla literatury polskiej".

Bardzo ślicznie i chwalić Boga. Lepiej późno, niż nigdy. Pięknie jest, że Cezary Napoleon Hirszband „Jellenta" jeździ sobie po Europie... Wiedeń... Paryż... Marsylja... Bruksela... Antwerpja... Tylko jest jedno małe a l e. A l e to musi dużo jednak kosztować. Nie? No i czy to się opłaca? Sędziwy grafoman fatyguje się jak stary gramofon, ale co z tego? Wynajęty i zakupiony „Zapoznaniec" bredzi i buja jakby był w malignie i zastrzyknęli mu kamfory i kurarę. Ale co z tego? Garść żydów holenderskich i żydów polskich słucha i zlewa. Ale co z tego? Każdy konsul polski asystuje przy tem i po tem wyciąga portfel. No i co z tego? Krajowa reklama dla wyranżerowanej Jellenty. No i co z tego? Kawiarniany gaduła odżył i odmłodniał. Ale co z tego? Zarabiają hotele i koleje i taksówki w Marsylji. Ale co z tego? I w ten sposób można sobie zafundować jeszcze tuzin żydów i tuzin grafomanów. Ale co z tego?

Za dużo gotówki idzie z gadzinowych funduszów na zakupno licznych ciemnych, skrachowanych egzystencyj. Możnaby nieco oszczędniej.

Ile też kosztował Was Jellenta? Sądząc po bezczelności cynicznych superlatywów musiał brać w łapę chyba tyle, że za to możnaby wystawić obelisk, albo dworzec kolejowy, albo przytułek dla bezdomnych literatów.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

W tarnopolskim „Głosie Polskim" czytaliśmy opis wielkich łowów, które się odbyły, z udziałem ministra poczt i telegrafów Bogusława Miedzińskiego, w lasach skałackich posła (z B. B.) Ksawerego Jaruzelskiego. Był też min. Targowski, oraz wojewodowie: lwowski Gołuchowski, wołyński Józewski, tarnopolski Moszyński. Padło 487 sztuk dziczyzny. Już tutaj nie poszczęściło się min. Miedzińskiemu, bo królem polowania uznano min. Targowskiego (73 sztuki). Ale gorzej poszło w komisji budżetowej w dn. 15 stycznia, gdzie o nim mówił, jako o wielkim Budowniczym, przedstawiciel Najw. Izby Kontroli. P. Miedziński, dla którego wskrzeszono ministerjum już nieistniejące, na listy Izby kontroli nie ma czasu odpowiedzieć. Do rozmowy tedy doszło na komisji. Poseł Polakiewicz — jak donosi „Głos Prawdy" — „napiętnował" wystąpienie przedstawiciela Izby Kontroli jako „niebywałe" i obniżające powagę urzędu... Stąd dwa wnioski możemy wysnuć: 1) sanacja jest już kontrolą, innej nie potrzebuje, 2) sanacja nie dokonała jesze dostatecznych rugów we wszystkich instytucjach. Trudno w takich warunkach radośnie budować. Kontrola psuje humor.

*

Walka z sądownictwem sanacyjnego redaktora „Głosu Prawdy" — jak sam wyznał — leży na linji jego rewolucyjnych planów. Domaga się też nagwałt reformy ustroju sądownictwa. Ale zanim ona nastąpiła, wypadł znowu jego proces z b. ministrem Kiernikiem, skarżącym go o spotwarzenie (sprawa Dojlid). Oczywiście trzeba działać na zwłokę. Terminy sprawy są odkładane z powodu choroby p. Stpiczyńskiego połączonej z gorączką. Ponieważ p. Kiernik co do tej gorączki, zaświadczonej przez lekarza, mówił w sadzie z ubolewaniem, przeto Stpiczyński przeniósł rozprawę do swego organu (Bardzo dogodne!). I powiada, „Mogłem ja czekać (!) 5 lat na obudzenie się w nim drażliwości: może on (Kiernik) poczekać parę miesięcy na mnie... Nie czuję żadnego moralnego zobowiązania niszczenia mego zdrowia". I dalej dopowiada, co w sądzie z czasem powie. Nie chcielibyśmy, aby z tego marginesu sądzono, że się czemukolwiek dziwimy. Tylko chcemy zaznaczyć, że lekarze źle robią, pozwalając p. Stpiczyńskiemu na pisanie artykułów przy wysokiej gorączce. Bo to może zaszkodzić i jemu i państwu, o którego sprawach w gorączce decyduje.

*

W organie sanacyjnego „Zjednoczenia pracy miast i wsi", tygodniku „Przełom", p. Wacław Szurig w artykule wstępnym wychwala dotychczasowe wyniki rządów „pomajowych"—„ze względu przedewszystkiem na ogromną sumę pracy wykonanej planowo we wszystkich dziedzinach życia państwowego, a nie mniej ze względu na uzyskane znakomite postępy w umacnianiu fundamentów i wznoszeniu gmachu Państwa p o d ł u g w s k a z a ń jego w i e l k i e g o B u d o w n i c z e g o".

Kapitalny jest ten konspiracyjny system porozumiewania się przy pomocy dwuznaczników i niedomówień. Wiadomo, jakie znaczenie posiada w rytuale masońskim „Wielki Budowniczy". A jednocześnie jakże łatwo wytłumaczyć się twierdząc, że użycie słów „Wielki Budowniczy" jest poprostu wyrazem hołdu dla pewnej określonej osoby, której autor artykułu jest wielbicielem...

Tylko czy ta... podwójność znaczenia nie jest przypadkiem symbolem całej polityki „pomajowej"?

*

Półurzędowa „Epoka" nadobre zabiera się do wychowywania moralnego polskiego społeczeństwa. W numerze z dn. 13 bm. w artykule wstępnym p. t. „Daleko od rycerskości"—o ideałach rycerskich poucza polaków p. S. Grosstern, zaś w fejletonie p. t. „Rzeczy niewesołe" — nawołuje do miłosierdzia chrześcijańskiego — p. J. Wassercug.

BŁĘDY DRUKU

W nr. poprzednim w „Liberum Veto" w szp. 1 w. 21 powinno być: ci (zam. iż), w szp. 2 w. 20: straże (zam. straż), w. 24 nieuleczalna (zam. nieaktualna).

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel, 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-gie piętro. Tel. 11-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. **9**, półrocznie **17**, rocznie zł. **32**, za granicą kwart. zł. **12**, półroczn. zł. **24**, rocznie zł. **45**, Konto czekowe na P. K. O. **3.105**.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI
Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Druk. A. Michalskiego, sp. z o. o., Chmielna 27. Telefon 27-15.
PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM